

# DETEKTYW

TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE

**SEKRETY STAREGO  
ZAMCZYSKA**

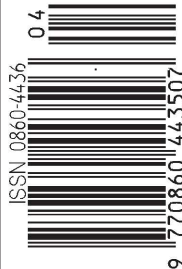
4

344



**KRÓLESTWO  
ROBACTWA**

**DRAMAT  
W FILHARMONII**



Monika Frączak	
<b>Słony rachunek</b> – Od redakcji .....	2
Krzysztof Kilijanek	
<b>Łutowa kronika kryminalna</b> – Minął miesiąc .....	3
Roman Baszkiewicz	
<b>Sekrety starego zamczyska</b> – Hitlerowski Sezam .....	4
Tomasz Krzemień	
<b>Kłątwa szamana</b> – Afrykańskie fatum .....	12
Jarosław Szklarek	
<b>Między niebem a piekłem</b> – Przemiana w cieniu śmierci .....	16
Leon Madejski	
<b>Dramat w filharmonii</b> – Za zamkniętymi drzwiami .....	20
Tomasz Borejza	
<b>Clark Rockefeller</b> – Superoszust .....	26
<b>Z kraju i ze świata</b> – Rozrywka z Temidą .....	32
Konrad Szymalak	
<b>Eksperymenty</b> – Psychopata z Dachau .....	34
Anna Jagodzińska	
<b>W oczekiwaniu na śmierć</b> – Na własne życzenie .....	38
Krzysztof Strug	
<b>Królestwo robactwa</b> – Horror na poddaszu .....	42
Konrad Buraczewski	
<b>Jajecznicza</b> – Trywialny powód .....	50
Tadeusz Wójciak	
<b>Droga rozpacz</b> – Szosa nr 16 .....	54
<b>Krzyżówka z paragrafem</b> .....	63
<b>Upiór Lwru</b> – Zagadka kryminalna .....	64

## WYDAWCA



AL. Jerozolimskie 107  
02-011 Warszawa  
Tel.: (22) 429 24 00 Fax: (22) 429 25 90  
[www.pwrsa.pl](http://www.pwrsa.pl) e-mail: sekretariat@pwrsa.pl

## ADRES REDAKCJI

AL. Jerozolimskie 107  
02-011 Warszawa

## SEKRETARIAT REDAKCJI

Tel.: (22) 429 24 50 Fax: (22) 429 25 92  
[www.e-detektyw.pl](http://www.e-detektyw.pl) e-mail: detektyw@pwrsa.pl

## REDAKTOR NACZELNY

Adam Kościelniak: adam.koscielniak@pwrsa.pl

## ZASTĘPCA RED. NACZ.

SEKRETARZ REDAKCJI  
Krzysztof Kilijanek: krzysztof.kilijanek@pwrsa.pl

## REDAKTORZY

Monika Frączak: monika.fraczak@pwrsa.pl  
Ewa Lewandowska: ewa.lewandowska@pwrsa.pl

## ILUSTRACJE

Jacek Rupiński

## SKŁAD I ŁAMANIE

AKAPIT, Jakub Nikodem: jakub.nikodem@pwrsa.pl

## KOLPORTAŻ

Tel.: (22) 429 24 19  
Fax: (22) 429 25 90  
e-mail: kolportaz@pwrsa.pl

## KOLPORTAŻ ZAGRANICZNY:

USA: „EXLIBRIS” – 5708 W. Belmont Ave. Chicago, IL. 60634  
Tel.: 773/725-2005 Fax: 773/725-7392 Biuro w Warszawie,  
ul. Dęblńska 13

## REKLAMA

Tel.: (22) 429 24 00  
e-mail: reklama@pwrsa.pl

**Prenumerata: koszt 1 egzemplarza – 3,20 zł.**  
**Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.**  
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie [www.prenumerata.ruch.com.pl](http://www.prenumerata.ruch.com.pl).  
Ewentualne pytania prosimy kierować pod adresem e-mail: [prenumerata@ruch.com.pl](mailto:prenumerata@ruch.com.pl) lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00 – 17.00.  
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

## DRUK

Drukarnia ODDI Poland Sp. z o.o.  
ul. Kościelna 91, 26-800 Białobrzegi  
Nakład: 210 160 egz.  
Oddano do druku: 09.03.2015 r.

Wydawca miesięcznika „Detektyw” ostrzega, że bezumowna sprzedaż aktualnych i archiwalnych numerów miesięcznika po innej cenie niż ustalona przez Wydawcę jest działaniem nielegalnym i skutkuje odpowiedzialnością karną. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania i zmiany tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga pisemnej zgody Wydawcy. Wydawca nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

© Copyright by „Detektyw”



# DETEKTYW

## Słony rachunek

W ostatnich miesiącach wiele osób padło ofiarą oszustów i musiało zapłacić słone rachunki za telefon komórkowy. Urząd Kontroli Elektronicznej otrzymuje coraz więcej sygnałów od abonentów o tym bardzo niepokojącym zjawisku. Rzecz dotyczy oszustów, którzy dzwonią do abonentów, najczęściej rano lub wieczorem. Nie chodzi o to, aby się dodzwonić, lecz by właściciel telefonu (najprawdopodobniej wybranego losowo) widział, że ktoś próbował się z nim połączyć i oddzwonił. Nieświadomi użytkownicy telefonu nie analizują numeru z którego telefonowano, a to podstawowy błąd, ponieważ takie nieodebrane i podejrzone połączenia mają na początku numer międzynarodowego numeru kierunkowego. One mogą być łatwo pomyłone z numerami kierunkowymi połączeń krajowych np. międzynarodowy numer kierunkowy Wybrzeża Kości Słoniowej ma początek +225 i może być pomyłony z warszawskim numerem kierunkowym (+22). Jednak rachunek za połączenie do Warszawy, a do Wybrzeża Kości Słoniowej zasadniczo będzie się różnił.

Kiedy oddzwaniamy, połączenie może być także celowo wydłużone! Słyszmy w słuchawce nieprawdziwy sygnał rozłączenia, ale jeśli sami nie zakończymy rozmowy, naciskając odpowiedni przycisk, licznik nam bije!

Rada jest prosta: zanim odruchowo oddzwonimy pod nieodebrany numer telefonu, przeanalizujmy cyferki (czy numer nie jest nienaturalnie długi lub czy nie są to połączenia zagraniczne). Warto też zastanowić się nad zablokowaniem w naszym telefonie możliwości wykonywania połączeń na numery zagraniczne lub na takie o podwyższonej opłacie, oczywiście jeśli nie korzystamy z takich połączeń (operatorzy komórkowi udostępniają taką funkcję). ■

Monika Frączak

# Lutowa kronika kryminalna

**GDAŃSK** – Dramat w nadmorskiej dzielnicy Brzezie to jedno z najbardziej bulwersujących przestępstw, do jakiego doszło w lutym 2015 roku. W nocy z soboty na niedzielę zamordowano – tak przynajmniej wynikało z pierwszych ustaleń – 17-letnią mieszkankę Wejherowa, która zginęła od ciosu nożem. Kilkanaście godzin wcześniej dziewczyna z koleżanką przyjechała do Gdańska... Brały udział w otwartych wykładach z chemii na Uniwersytecie Gdańskim. Po zakończeniu zajęć dziewczyna jeździła rowerem pasem nadmorskim. Po południu około godz. 15:00 napisała SMS-a do rodziców, że wróci do domu około godz. 20:00... niestety nigdy tam nie dotarła. W niedzielny ranek jej zwłoki odkrył przypadkowy przechodzień. Komendant Wojewódzki Policji w Gdańsku podjął decyzję o powołaniu specjalnej grupy najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy, którzy rozpoczęli pracę nad rozwikłaniem tej sprawy. Przez dwa dni około 150 policjantów prowadziło penetrację terenu szukając wszelkich śladów mogących mieć znaczenie dla śledztwa. Funkcjonariusze szczegółowo sprawdzili teren pasa nadmorskiego w rejonie znalezienia zwłok. Sprawdzano tereny leśne, wydmy oraz plażę. W momencie kiedy zamykaliśmy numer do druku pojawiła się hipoteza, że mogło to być samobójstwo.

**POZNAŃ** – Kiedy w bloku na jednym z osiedli na poznańskim Piątkowie wybuchł pożar początkowo wydawało się, że to jedno z nieszczęśliwych zdarzeń, z jakimi na co dzień walczą strażacy. Zniszczeniu uległo mieszkanie, a rodzina znajdująca się w pomieszczeniach zdołała uciec. Szybko okazało się, że nie był to nieszczęśliwy wypadek. Pożar wzniecił zamieszkujący tam 41-letni mężczyzna. W pokoju, w którym spała jego żona, podejrzany podłożył ogień, a następnie próbował udusić swoją partnerkę. Kobieta obroniła się przed napastnikiem i zdołała uciec przed nim przez balkon. O tych dramatycznych zdarzeniach kobieta zdecydowała się poinformować funkcjonariuszy dopiero kilka dni po pożarze. Jak się okazało, od jakiegoś czasu mąż znęcał się nad nią, lecz ze strachu przed mężem-tyranem nie zgłaszała wcześniej na policję interwencji. Mężczyzna usłyszał zarzut usiłowania zabójstwa.

**ŚWIĘTOCHŁOWICE** – Policjanci zatrzymali 28-letniego mieszkańca Rudy Śląskiej, który wdarł się przez okno do mieszkania 65-letniej kobiety i jej 28-letniego syna. Sprawca po wejściu do środka pobił właścicielkę lokalu, a wychodząc podpalił mieszkanie. W wyniku pożaru kobieta doznała poważnych obrażeń i w stanie ciężkim trafiła do szpitala. W czasie całego zajścia 28-letniego syna kobiety nie było w mieszkaniu. Podpalacz po zdarzeniu zbiegł i ukrywał się na terenie Świętochłowic, jednakże po kilku dniach intensywnej pracy policjantów wydziału kryminalnego został zatrzymany. Są

przychylił się do wniosku śledczych o zastosowanie tymczasowego aresztowania w stosunku do podejrzanego o podpalenie. Z ustaleń policjantów wynika, że podpalenie było formą zemsty rudzianina za wcześniejszy konflikt, który poróżnił go z ofiarami.

**JADOWNIKI** – Do dramatu doszło w małopolskim hostelu, gdzie została zamordowana 29-letnia kobieta. Ciało denatki z licznymi ranami kłutymi leżało na podłodze w kałuży krwi. Z pierwszych ustaleń wynika, że przyczyną dramatu był zawód miłosny. W godzinach rannych, do pokoju, w którym znajdowała się ofiara wraz z innym mężczyzną, przyszedł jej były chłopak. Kilka minut później doszło do kłótni, w czasie której napastnik ranił nożem mężczyznę i zadał śmiertelne ciosy kobiecie. Dzień przed zabójstwem sprawca wrzucił na swój profil w serwisie społecznościowym desperacki wpis, w którym informował o swoim zawodzie miłosnym. Wynikało z niego, że jego narzeczona, z którą był od ponad siedmiu lat, prowadziła podwójne życie i przez ostatnie trzy lata zdradzała go z mieszkańcem pobliskiej miejscowości (wymienił go z imienia i nazwiska). Podejrzany o zabójstwo tłumaczył, że nie odkrył tego wcześniej, bo jako kierowca międzynarodowy bywał w domu tylko przez tydzień w miesiącu. Trwa wyjaśnianie wszystkich okoliczności tragicznego zdarzenia.

**KIELCE** – Funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji zatrzymali siedmiu członków zorganizowanej grupy przestępczej, podejrzanych o dokonanie na terenie Niemiec kradzieży ponad 800 nowych kół samochodowych o wartości 1,8 miliona złotych. Grupa zajmowała się także nielegalną produkcją papierosów. W trakcie przeszukania funkcjonariusze ujawnili 480 tysięcy papierosów bez polskich znaków akcyzy, 16 kilogramów tytoniu oraz 11 litrów spirytusu. Wartość uszczuplenia należności Skarbu Państwa ocenia się na przynajmniej pół miliona zł.

**TCZEW** – Tamtejsi policjanci zatrzymali młodego mężczyznę z powiatu malborskiego podejrzanego o usiłowanie zabójstwa 70-latką. 22-latek podszedł do swojej przyszłej ofiary i zażądał wydania wartościowych przedmiotów, gdy spotkał się z odmową ugodził go nożem. Na miejsce napadu przyjechał między innymi przewodnik z psem tropiącym. Czworonóg podjął trop, dzięki czemu ustalono kierunek ucieczki sprawcy. Policjanci wytypowali trasę, którą poruszał się mężczyzna przed zdarzeniem i zabezpieczyli monitoring z tej okolicy. Dzięki tym działaniom bardzo szybko wytypowali i zatrzymali podejrzanego, który ponadto napadł na sklep spożywczy. Mężczyzna usłyszał zarzuty usiłowania zabójstwa w związku z rozbojem oraz usiłowania rozboju. Za tego typu przestępstwa grozi kara dożywotniego pozbawienia wolności. ■

Krzysztof Kilijanek

# Sekrety starego

Roman BASZKIEWICZ

# ZAMCZYSKA

Potężny zamek Czocho na Dolnym Śląsku robi wrażenie zapierające dech w piersiach: wysoka wieża o trzymetrowej grubości, kręte, wykute w skale schody, ukryte w ścianach sekretne przejścia, ponure więzienne lochy. I – jak każdy tego typu obiekt – ma tajemnice, mroczne opowieści związane z jego przeszłością: zarówno dalszą, jak i bliższą naszym czasom. Wiele wskazuje na

to, że w czasie drugiej wojny światowej składowano tutaj insygnia koronacyjne carów rosyjskich, mnóstwo bezcennych ikon i innych skarbów. Wiele klejnotów przetrwało zawieruchę wojenną, a jednak ich los jest dzisiaj nieznanym. Od kilku lat coraz częściej pojawiają się spekulacje o działającej tu szkole Abwehry, kształcącej doskonałych szyfrantów.



**Z**amek Czocha wznosi się na potężnej granitowej skale, której fragmenty gdzieś tam malowniczo wystają poza obrys zamkowych murów, nad rzeką Kwisą, nieopodal miejscowości Leśna. To południowo-zachodni krańiec Dolnego Śląska, w odległości około 30 km od Jeleniej Góry – w lesistej, górzystej okolicy nad jeziorem, które miejscowi nazywają Okiem Jednookiego. Najprawdopodobniej zbudowano go w pierwszej połowie XIII wieku. Początkowo był własnością czeskiego króla Wacława II, który był inicjatorem budowy kilkunastu warowni obronnych na północnej granicy Czech. Następnym jego włodarzem był kasztelan Hinko von Lesna (któremu najprawdopodobniej swoją nazwę zawdzięcza pobliska miejscowość Leśna). Na początku XIV wieku kupił go zamożna rodzina von Biberstein, której zamek zawdzięcza znaczną rozbudowę. To wtedy nabrał on charakterystycznych kształtów, które przetrwały przez następne stulecia: zasadnicza bryła budynku miała kształt czworoboku i tworzyła trzypiętrowy zamek, nad którym górowała masywna wieża. W 1434 roku zamek zdobyli husyci. Rezydowali tu również „raubritterzy” – rycerze rozbójnicy, plądrujący klasztory, wioski i okradający przejeżdżających w okolicy kupców. Ich łupem padały nawet tak niedostępne fortece, jak położona nad Dunajcem Niedzica. Po tym dość burzliwym okresie, na ponad dwa i pół wieku Czocha stała się rezydencją rodziny von Nostitz.

To dzięki nim obiekt stał się jedną z największych i najpotężniejszych warowni na Dolnym Śląsku. Tak było do końca XVIII wieku. W nocy z 17 na 18 sierpnia 1793 roku pożar niemal całkowicie zniszczył zamek, kładąc kres jego świetności i potędze. Nie wiadomo co było jego przyczyną: może uderzenie pioruna, może świeca, której ktoś nie zgasił przed pójściem spać. Ze zniszczeń uratowała się tylko zamkowa kaplica. Mimo to, wkrótce przystąpiono do trwającej pięć lat odbudowy. Postęp prac był imponujący: dokonano zmiany dachu na barokowy, czterospadowy, podwyższono wieżę. Czocha ponownie stawała się perłą Dolnego Śląska.

Na początku XX wieku zamek kupił od ostatniego z potomków łużyckiego rodu Uchtritzów, panujących tutaj przez prawie ostatnich trzysta

lat, pochodzący z Drezna jeden z najbogatszych tamtejszych bankierów – Ernst von Gutschow, o którym historycy mówią, że jak rzadko kto potrafił z głową wydawać ciężko zarobione pieniądze. To dzięki niemu Czocha stała się perełką zamków śląskich, przy której potężniejszy Książ to jednak tylko ubogi krewny.

Na zlecenie Gutschowa profesor Bodo Ehardt, na co dzień nadworny architekt cesarza Wilhelma II, dokonał znaczących zmian architektonicznych, wzorując się na rycinie z 1703 roku, jedynym dokumencie ocalałym z pożaru. Rekonstrukcja pałacu, stylizowanego na czysty gotyk, kosztowała gigantyczną, jak na tamte czasy, kwotę 4 milionów marek. Drezdeński przemysłowiec marzył, że pewnego dnia na zamku pojawi się sam cesarz Niemiec, stąd wszelkie prace konserwatorskie musiały wypaść szczególnie okazale. Najlepsi fachowcy dbali o każdy szczegół architektury i wewnętrznego wystroju. Mury, potężna wieża, witraże w oknach – wszystko było wzorowane na średniowiecznym stylu – jak mówili niektórzy złośliwi – było bardziej gotyckie niż średniowiecze.

Do roku 1914 wykonano szereg prac, wykorzystując wiele oryginalnych elementów. Niestety, przy okazji prac remontowych bezpowrotnie zniszczono wiele najstarszych elementów zamku. Obecny wygląd – okazałej rezydencji – zamek zawdzięcza przede wszystkim tamtej przebudowie. Dzięki temu od stu lat budowla stała się jednym z najpiękniejszych obiektów Dolnego Śląska.

### Nieprzyzwoicie bogaty bankier

**J**uż wtedy wiele osób zachodziło w głowę, skąd mało znany bankier ma aż tak dużo pieniędzy... i nigdy nie udało się do końca odpowiedzieć na to pytanie. Pozostały domysły. Jedna z wersji mówi, że Gutschow spokrewniony był z rodziną Rockefellerów – wówczas najbogatszą rodziną świata. On sam utrzymywał ponadto wiele kontaktów z rosyjską arystokracją, która po zwycięstwie rewolucji październikowej musiała uciekać z kraju i w Europie szukać nowego miejsca do życia. Plotki głoszą, że sam Gutschow pochodził z Ukrainy, a w jego żyłach płynęła arystokratyczna krew, jednak ze względu na prowadzone interesy nie chciał ujawniać swojej przeszłości.

Od początku lat dwudziestych ubiegłego stulecia zamek Czocha był schronieniem dla skarbów carskiej emigracji. Nie ma w tym nic dziwnego, bo Gutschow miał wśród rosyjskich emigrantów wielu przyjaciół, a sporą część majątku zbudował na handlu z przedrewolucyjną Rosją. Inne źródła sugerują, że dawni carscy arystokraci zostawili te wszystkie dzieła sztuki w depozycie, albo też była to z ich strony swoista forma zapłaty za pobyt na zamku i wystawne utrzymanie. Nie można wykluczyć, że wiele cennych rzeczy Gutschow kupił na wyprzedażach, które często urządzali na Zachodzie carscy oficerowie i „biała” arystokracja. Dzięki temu udało mu się zgromadzić imponujący zbiór dzieł sztuki. Były tam skarby carów rosyjskich, insygnia koronacyjne, kolekcje filatelistyczne, kilkaset ikon, biżuteria.

Druga wojna światowa nie wpłynęła na życie na zamku. Nadal pełno tu było arystokratów niemal z całej Europy. Plotka głosi, że w czasie wojny skarbiec zamku Czocha zaczęły zasilać zamorskie klejnoty i kosztowności niemieckiej arystokracji, dla której wspaniały zamek wydawał się najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Tyle tylko, że oprócz płatnej służby do darmowych prac wykorzystywano miejscową ludność. To m.in. dzięki ich relacjom, zgromadzonym przez Janusza Skowrońskiego, autora książek o tajemnicach zamku Czocha, dowiadujemy się o podłodze z pancernego szkła, na której tańczyli niemieccy oficerowie, zaś pod ich nogami, w gigantycznym akwariu pływały przepiękne ryby. – *Pewnego dnia, było to już chyba pod koniec wojny – wspomina Katarzyna J., która jako jedna z nielicznych pracownic miała wtedy wstęp na teren zamkowej rezydencji – zaprowadzono mnie do sali znajdującej się gdzieś w podziemiach. Podłoga była tam ze szkła, a pod nią pływały ryby. Bałam się na tym stanąć, ale towarzyszący mi Niemiec chwycił mnie za ramię i tanecznym krokiem wprowadził na tę posadzkę.*

Mimo licznych poszukiwań, już po wojnie nigdy nie udało się natrafić na ślad tego pomieszczenia. Wiele wskazuje na to, że nie jest ono tylko wytworem ludzkiej wyobraźni. Zdaniem kilku innych świadków, do podziemi zamkowych prowadziło jeszcze jedno wejście – od strony pobliskiej Kwisy. Dziś jego położenie jest nieznane.

To wszystko potwierdza podejrzenia, że część zamku, znana tylko wtajemniczonym, pozostaje nadal niedostępna.

W lutym 1945 roku, gdy zbliżały się wojska radzieckie, Ernst Gutschow uciekł do Niemiec. Przed wyjazdem powiedział do zgromadzonej na zamku służby: – *Pamiętajcie, ktokolwiek tu przyjdzie, Polacy czy Rosjanie, niech zabiorą stąd wszystko, co będą chcieli. Gdyby nawet wywieźli stąd wszystko i tak zostanie tu dużo więcej, niżby ktokolwiek się domyślał...*

To bardzo zagadkowe słowa. Nie wiadomo, co Gutschow miał na myśli. Wprawdzie w pierwszych miesiącach po wojnie udało się odkryć wiele cennych przedmiotów, ale czyżby była to zaledwie część tego, co skrywa tajemnicza budowla, która lata II wojny światowej przetrwała praktycznie bez żadnych zniszczeń?

## Stara klucznica

**P**o ucieczce Niemców, na zamku Czocha pozostała jedynie baronówna Kristina von Saurma. Tak przynajmniej wynika ze wspomnień pierwszego polskiego administratora zamku, Piotra Leszczyńskiego: *W chwili obejmowania zamku zastaliśmy tylko klucznicę baronów, która oświadczyła polskim władzom, że nie chciała opuszczać zamczyska i okolicznych stron, w których spędziła niemal całe swoje życie. Zapytana o ewentualne skarby zamku Czocha, odpowiedziała jedynie, że dawnemu państwu udało się wywieźć wszystkie kosztowności do Drezna. Zapomnieli podobno jedynie szkatułki z brylantami. Jednak na trzy tygodnie przed wkroczeniem Rosjan, zjawiała się specjalnie przysłana pokojówka i zabrała zapomniane klejnoty.*

To była bardzo zagadkowa kobieta. Niekiedy zniknęła z zamku na całe godziny, tak jakby zniknęła gdzieś w czeluściach jego podziemi. Podobno wieczorami zamykała się w swoim pokoju i piła drogie, francuskie trunki, mimo że nigdzie nie można było ich kupić. Być może miała gdzieś tylko sobie znaną piwniczkę. Stara klucznica opiekowała się niezwykle cenną zamkową biblioteką, liczącą około 25 tysięcy książek, łącznie z XVI-wiecznymi inkunabułami. Nie wiadomo dlaczego już wtedy nie uciekła do Niemiec. Albo dlaczego,

jako osoba lubiana i obdarzona zaufaniem przez Gutschowów, nie została przez nich ochroniona przed zbliżającym się niebezpieczeństwem? Ludzie snuli różne domysły...

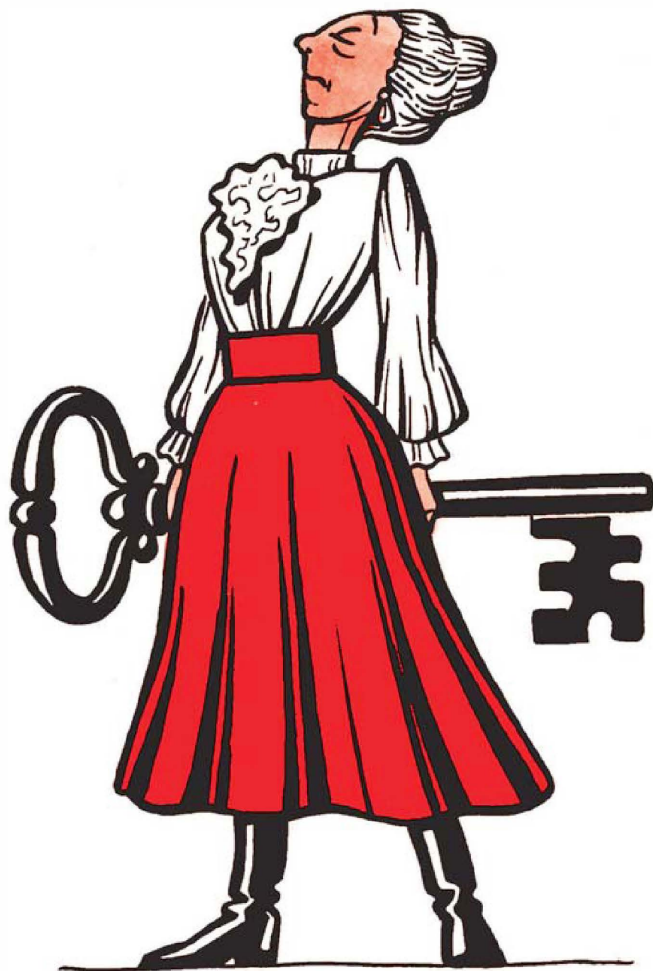
– *Może była kimś w rodzaju strażnika skarbów pozostawionych w zamkowych podziemiach – podejrzewali miejscowi.*

Jeszcze bardziej zaskakuje fakt, że podjęła współpracę z polskimi władzami. To ona wskazała miejscowym policjantom skrytki, spośród których najważniejszy był tzw. pokój pancerny – pomieszczenie zabezpieczone żelbetonowymi ścianami o grubości 33 centymetrów. Jak wynika ze wspomnień świadków tamtych zdarzeń: *Po wybiciu północnej ściany, w jednej z piwnic drugiej kondygnacji znaleziono osiem zamaskowanych szaf ogniotrwałych, w których były przedmioty ze srebra i złota. Odkryty obok mały zamurowany pokoik, przypominający wnękę, wypełniony był ikonami. Oprócz ikon ukryte tam były drogocenne druki, zabytkowa porcelana oraz cenne starodruki rosyjskie. Baronówna powiadomiła jednocześnie o ujawnieniu skrytki Karola Orlicza, kierownika Referatu Kultury i Sztuki w Starostwie Powiatowym w Lubaniu. Kilka tygodni później Kristina von Saurma nagle i niespodziewanie wyjechała do Niemiec.*

Orlicz niemal natychmiast przyjechał na zamek Czocha, aby zabezpieczyć to wszystko, co ujawniono i aby szukać innych skarbów. Był więcej niż pewien, że to, co dotychczas znaleziono, to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Pomagali mu w tym ówczesny burmistrz Leśnej Kazimierz Lech, komendant posterunku MO Lucjan Czerniak oraz jego zastępca Prokopowicz.

### Co kryły podziemia?

**C**hyba najbardziej interesującego odkrycia Karol Orlicz dokonał 25 listopada 1945 roku. Tamtego dnia odnalazł skrytkę w podziemiach zamku, do której prowadziły doskonale zamaskowane drzwi pancerne. W obecności miejscowych władz, m.in. burmistrza i szefa lokalnej milicji, dwaj niemieccy ślusarze Sliller i Linke wypruli dziurę w ścianie, dzięki czemu dotarto do skarbu.



– *Pewnego listopadowego dnia – wspominają świadkowie – na zamkowy dziedziniec wjechała ciężarówka. W szoferce siedział wicestarosta i burmistrz. Na pace – dwóch nieznanym mężczyznom, którzy zaczęli wyciągać z samochodu palniki i butle z acetylenem. Zanieśli je do zejścia w podziemia i wtedy wszyscy razem udali się tam. Nie pokazywali się cały dzień, noc i wyszli dopiero następnego dnia po południu. Powołując się na tajemnicę służbową, kazali się usunąć wszystkim postronnym świadkom z zamkowego dziedzińca. Zapowiedzieli – że w razie oporu użyją siły! W międzyczasie z Leśnej przyjechała druga ciężarówka. Podobnie jak i pierwsza, podjechała pod wejście do podziemi. Ładowanie trwało chyba do wieczora. Ciężary musiały być naprawdę wielkie... bo przez cały czas słyszeliśmy sapanie noszących.*

Jak wykazała późniejsza ekspertyza, sporządzona przez Zakład Kryminalistyczny w Warszawie, urządzenie zamykające dostęp do skarbcza podobne było trochę do „cudownej lampy Alladyna”. Jego zasadnicza część oparta była na systemie

cyfrowym. Bez poznania szyfru, wejście do sekretnego skarbca było niemożliwe. Z perspektywy czasu możemy się tylko domyślać, że klucznica, która na całe dni zniknęła gdzieś z zamku, najprawdopodobniej schodziła do podziemi i szukając właściwego zestawu cyfr, próbowała otworzyć skarbiec. No cóż, nie udało się!

Pierwszy protokół, sporządzony po odkryciu zamkowych bogactw, mówi jedynie ogólnikowo o odkryciu 105 sztuk srebra antycznego. Dopiero w drugim sprawozdaniu szczegółowo opisano zawartość trzech skrzyń i olbrzymiego kufru. Ten spis liczy 362 pozycje. Według zeznań świadków, w spisany wówczas protokole była mowa m.in. o 175 butelkach wina, 145 butelkach wódki i likieru oraz 275 sztukach srebra (jako jedną pozycję uwzględniono np. zastawę stołową w luksusowym futerale na 24 osoby).

Wszystkie odnalezione skarby zdeponowano w miejscowym posterunku Milicji Obywatelskiej i u burmistrza w ratuszu. Obie instytucje mieściły się w jednym budynku: pierwsza na parterze, druga na pierwszym piętrze. Zaczęły się gorączkowe narady, co zrobić z całym znaleziskiem. Przecież nie mogło ono w nieskończoność „zawałać” komisariatu i siedziby burmistrza.

Ówczesny starosta powiatowy, Antoni Stawiarski, nakazał Orliczowi, aby wywiózł część skarbów na krakowski Wawel, gdzie mieściła się Dyrekcja Państwowych Zbiorów Sztuki. To była chyba najrozsądniejsza decyzja.

Orlicz, jadąc nocą w kierunku Krakowa, zabłądził już gdzieś w okolicach Wałbrzycha. Nie miał ze sobą żadnych map, a przy drogach nie stały żadne drogowskazy. Przecież jeszcze przed kilkoma miesiącami trwała tutaj wojna. W nocy zatrzymali go wopiści przy granicy słowackiej. Kiedy wyjaśnił im, że wiezie skarby na Wawel, wzięto go, co najmniej, za człowieka niespełna rozumu. Ciężarówkę ze skarbami skierowano do Jeleniej Góry i jest to tzw. polski ślad skarbu Czocho.

### Kim pan jest, profesorze Wereszczyński?

**N**ie wiadomo dokładnie, co się stało z ładunkiem samochodu, którym kierował Orlicz. Jak wynika z relacji Eugenii Triller, która w latach 1945-1951 w Jeleniej Górze kierowała

Archiwum Miejskim, pewnego dnia zgłosił się do niej jej przełożony, szef Muzeum Miejskiego, niejaki profesor Wereszczyński i poinformował ją, że w archiwum zostaną złożone bardzo cenne przedmioty. Jakże? Na to pytanie nie chciał już udzielić jej szczegółowej odpowiedzi.

*– Oświadczyłam Wereszczyńskiemu, że zgodzę się na umieszczenie przedmiotów pod warunkiem, że sąd opieczętuje drzwi. Kiedy wnoszono skrzynie, sędzia opowiedział mi o ich sensacyjnych losach. Ciężarówkę zatrzymano na granicy – jej właściciel nie chciał podać jej zawartości. Wiadomo było jedynie, że pochodzi ona z zamku Czocho. Ciężarówka pod konwojem milicji została skierowana do sądu w Jeleniej Górze. Rzekomego właściciela uwięziono. W sądzie złożono porcelanę, kryształ i około 1000 albumów filatelistycznych. Za radą Wereszczyńskiego to wszystko, co nie zmieściło się w piwnicach sądu, postanowiono zabezpieczyć w Archiwum Miejskim.*

Z relacji kobiety, obecnej przy otwieraniu skrzyń, wynika, że wewnątrz nich były m.in. popiersia carów Rosji, kandelabry ze stołu cesarskiego i nakrycia stołowe, wśród których ukryty był kodeks z XIII wieku, oprawiony w białą świńską skórę. W skrzyniach było także co najmniej kilkadziesiąt ikon. Około dwa miesiące później wszystkie te skarby profesor Wereszczyński nakazał z powrotem zapakować do skrzyń. Pytany, gdzie będą zawieszane, odparł, że do Karpacza. Tymczasem nikt nie słyszał, aby w mieście tym były jakiegokolwiek specjalne magazyny.

Mimo to skarb wywieziono. Kilka dni później, w równie tajemniczych okolicznościach, zaginął sam profesor Wereszczyński. Akurat zjawiała się u niego komisja kontrolna z Wrocławia. W pewnym momencie mężczyzna, pod pretekstem wyjścia do toalety, opuścił swój gabinet... i od tamtej pory nikt nigdy już go nie widział. Nie wiadomo, co się z nim stało, to samo dotyczy skarbów z zamku Czocho, rzekomo wywiezionych w kierunku Karpacza.

Nic dziwnego, że przez kilka następnych lat mnożyły się pytania: kim naprawdę był profesor Wereszczyński, o którym praktycznie nikt nic nie wiedział: ani jego podwładni, ani jego przełożeni. Czy to w ogóle było jego prawdziwe nazwisko? Czy był zwykłym szabrownikiem, jakich wielu było wtedy na Dolnym Śląsku, a może jego działa-



niem kierowali o wiele możniejsi protektorzy? Nie można przecież wykluczyć, że był wysłannikiem kogoś z rodziny Gutschowów, którzy próbowali w ten sposób odzyskać część rodzinnego majątku. A może – co wydaje się jednak prawdopodobne – za rzekomym profesorem Wereszczyńskim stały radzieckie służby specjalne, które – nie czekając na unormowania prawne między Polską i Związkiem Radzieckim – chciały odzyskać carskie skarby? Mimo upływu siedemdziesięciu lat, nie udało się wyjaśnić tych wątpliwości.

### Szabrownicy

Większość skarbów z zamku Czocho nadal jednak pozostawała w Lubaniu, w gmachu ratusza, pod opieką burmistrza i miejscowego komendanta MO. Władze wojewódzkie, w odległym o ponad sto kilometrów Wrocławiu, jakby zapomniały o olbrzymich dobrach, które spoczywają w lokalnym komisariacie Milicji Obywatelskiej. Tymczasem ludzie, którym powierzono opiekę nad skarbem z zamku Czocho, nie sprościli pokładanemu w nich zaufaniu i zaczęli rozmyślać, w jaki sposób uszczknąć coś dla siebie.

Na początku lutego 1946 roku burmistrz Leśnej, Kazimierz Mech, wraz z zastępcą Edwardem Madejem oraz komendant Lucjan Czerniak i zastępca komendanta posterunku MO Stanisław Prokopowicz, pod osłoną nocy uciekli z Lubania, zabierając ze sobą wszystkie cenniejsze rzeczy, z oddanego pod ich opiekę depozytu. Bez problemów uciekli na Zachód, co było o tyle łatwe, że cała czwórka posiadała przepustki upoważniające do wielokrotnego przekraczania granicy polsko-niemieckiej. Po mężczyznach zaginął wszelki ślad i nigdy nie udało się wyjaśnić ich losów. Wiele przesłanek wskazuje na to, że uciekli w ostatniej chwili, mając świadomość, że grunt „coraz bardziej zaczyna im się palić pod nogami”.

Nie wiadomo, co się stało z wywiezioną częścią zamkowych skarbów. Nigdy nie wypłynęły one na wolnym rynku, na żadnej aukcji albo licytacji. Zresztą można odnieść wrażenie, że w tamtych czasach rabował, kto tylko mógł. Nic dziwnego, że jeden z ówczesnych oficerów Ochrony Pogranicza ppor. Vogel pisał do swoich przeło-



zonych: *W związku z majątkiem znajdującym się dotychczas w zamku Czocho, gdzie znajduje się bezcenna biblioteka oraz szereg dzieł sztuki, proszę poczynić jakiegokolwiek kroki w celu zabezpieczenia tego majątku, w przeciwnym razie zostanie on rozgrabiony przez okoliczną milicję...*

Kilka dni później, wojewoda wrocławski Stanisław Piaskowski pisał do starosty Lubania: *Doszło do mej wiadomości, iż z terenu powiatu Lubań wywożone są meble tak nowoczesne i antyczne, szczególnie z zamku Czocho. W związku z tym proszę o zbadanie, kto i na jakiej podstawie zezwolił na wywóz omawianych mebli.*

Dwa miesiące później, pracownicy wrocławskiej Biblioteki Uniwersyteckiej, którzy zjawili się tutaj, aby zabezpieczyć bibliotekę Gutschowa, stwierdzili: *daleko idące splądrowanie zamku z rozbiciem kas pancernych włącznie. Według informacji administratora Czochoy, dokonały tego osoby, którym powierzono pieczę nad zamkiem.*

Władza ludowa dopiero kilkanaście miesięcy później podjęła bardziej zdecydowane kroki wobec jawnego szabru, jaki miał miejsce na zamku Czocho. Przed dwudziestu laty tak relacjonowała je

Aleksandra S., wówczas urzędniczka jeleniogórskiej prokuratury, na łamach „Głosu Wielkopolskiego”: *Było to w roku 1947. Któregoś dnia dotarło do nas zgłoszenie o kradzieży ikon z zamku Czocha. Sprawę prowadził prokurator Jerzy Strammer, który w tamtych latach był postrachem Jeleniej Góry. I w tej sprawie zarządził on wizję lokalną, w której miałam uczestniczyć. Obyła się ona w sierpniu 1947 roku. Był piękny, upalny dzień, pamiętam jak dziś. Przyjechalśmy do zamku, który już wtedy był w gestii Ministerstwa Kultury i Sztuki. Oprowadzał nas jego ówczesny kierownik. W zamkowej bibliotece nie było już książek, bo zostały wcześniej wywiezione do Wrocławia. W jednym z pustych regałów był ukryty przycisk. Po jego naciśnięciu regał uchylał się, odsłaniając tajne zejście. Szeroką klatką schodową zeszliśmy do dość obszernej sali. Stąd właśnie skradziono ikony. Pamiętam tylko, jak prokurator Strammer mówił, że to były bardzo cenne ikony. I że było ich dużo, ale żadnych konkretnych liczb nie pamiętam. Nie wiem nawet, czy padły one podczas wizji lokalnej. Ikony zostały przywiezione z Rosji po rewolucji październikowej w 1917 roku. Ówczesny właściciel Czochy albo je kupił, albo tu zostały złożone w depozyt przez emigrantów rosyjskich. Pamiętam również, że na ścianach tego pomieszczenia wisiały jeszcze ikony. Cztery, może pięć. A pod ścianą stały złożone jeden obok drugiego jakieś stare obrazy. Sprawcy kradzieży ikon nie wykryto, a śledztwo prokurator Strammer rychło umorzył. Zamek Czocha utrwalił mi się jednak w pamięci i na pewno zwróciłabym nań uwagę, gdyby pojawił się później w adresowanych do prokuratury pismach. Wszystkie takie dokumenty przechodziły przez moje ręce. Ale on się nigdy nie pojawił.*

Machina śledcza została jednak wprawiona w ruch. Śledztwo, a potem przewód sądowy nie przyniosły jednak większych efektów. Na zamku kradło co najmniej kilkanaście osób, na ławie oskarżonych zasiadł tylko jeden – Stanisław Kienda. 17 grudnia 1946 roku przed Sądem Okręgowym w Jeleniej Górze, Wydział Karny Doraźny, zapadł wyrok przeciwko Stanisławowi Kiendzie, oskarżonemu o to, że w dniu 17 stycznia 1946 roku w Czosze, pow. Lubań, jako zastępca starosty na powiat Lubań, będąc zobowiązany z tytułu zajmowanego stanowiska służbowego do zabezpieczenia mienia niemieckiego, zabrał w celu przywłasz-

*czenia 2 skrzynie zawierające około 270 sztuk pojedynczego srebra i kompletny serwis srebrny na 48 osób, a stanowiący własność byłego właściciela zamku Czocha, Niemca – Gutschowa, które to srebro wobec ucieczki Gutschowa do Niemiec, przeszło jako mienie ponemieckie na własność skarbu państwa.*

Oskarżonego Kiendę skazano na 12 lat więzienia oraz 100 tysięcy złotych grzywny.

## Arcydzieło obcego wywiadu

**W** ostatnich latach coraz częściej pojawiają się informacje, jakoby na teren zamku Czocha pod koniec drugiej wojny światowej przeniesiono część specjalistów z berlińskiego zespołu „Pers Z”. Pod tą tajemniczą – i celowo nic nieznaczącą nazwą – krył się działający od 1919 roku zespół kryptologów Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec. W pierwszych latach jego działania zatrudniano tam zaledwie kilkunastu specjalistów. Po dojściu Hitlera do władzy co roku przyjmowano kolejnych kryptologów; szacuje się, że w 1944 roku mogło tam pracować nawet czterysta osób. Kiedy w ostatnich miesiącach drugiej wojny światowej alianci coraz częściej bombardowali Berlin, Hitler podjął decyzję o przeniesieniu grupy w kilka bezpieczniejszych miejsc III Rzeszy, m.in. do Jeleniej Góry. Jej najbardziej sekretna część mogła być ulokowana właśnie na zamku Czocha, tym bardziej że od pewnego czasu mieściła się tam szkoła Abwehry. W tamtym czasie – twierdzi część historyków – niemieckim kryptologom udało się opracować urządzenie o nazwie „Ryba-miecz” umożliwiające odczytanie najważniejszych depeesz wysyłanych z Kremla i przed dowódców Armii Czerwonej. Coraz częściej pojawia się opinia, że wynalazek ten technicznie i technologicznie przewyższał osiągnięcia „Enigmy”. Wiele wskazuje na to, że „Ryba-miecz” na początku 1945 roku przejęta przez zachodnich aliantów, jeszcze przez lata służyła im do czytania sowieckich depeesz opatrzonych gryfem najwyższej tajności.

Niewiele wiemy o działalności niemieckich kryptologów na terenie zamku Czocha. Mimo upływu czasu, nadal poruszamy się w kręgu tajemnic, hipotez i domysłów. Ot, choćby zagadkowe znalezisko jednego z poszukiwaczy skarbów, który w 2005 roku w lesie nieopodal zamku odnalazł szczelnie

zaplombowane puszkami z zagadkowymi mikrokryształkami. Było ich prawie dwieście, każdy z nich miał sześć milimetrów długości, milimetr średnicy, kształt walca zaokrąglonego z jednej strony i uciętego 1 milimetr od końca. Na owych kryształach zostały zapisane różne zdjęcia i mapy, za pomocą rewolucyjnej jak na tamte czasy technologii mikrokropki. Skala miniaturyzacji wynosi ok. 1:300 (oznacza to możliwość pomniejszenia kartki formatu A4 zawierającej np. tekst, do wielkości pojedynczej kropki znajdującej się w tekście pisanego czcionką normalnej wielkości listu. Metoda wykonywania mikrokropek zalicza się do technik steganograficznych, dlatego też od początku jej powstania wykorzystywana była przez służby wywiadowcze różnych państw. Największego udoskonalenia tej techniki dokonał hitlerowski wywiad, czyli Abwehra na początku lat 40. XX wieku. Przy pomocy firm z branży fototechnicznej i chemicznej, Heinrich Beck uzyskał mikrokropkę wielkością porównywalną do uzyskiwanej na zwykłej maszynie do pisania. Ówczesny dyrektor FBI, John Edgar Hoover,

określił ten wynalazek jako „arcydzieło obcego wywiadu”, zaś niemieccy szpiedzy w czasie wojny wysyłali w ten sposób tajne informacje i meldunki.

Równie zagadkowe są powody, dla których w ostatnich tygodniach wojny kilkakrotnie przyjeżdżał tutaj Werner von Braun (1912-1977) – niemiecki konstruktor raket, major SS, po wojnie jeden z dyrektorów amerykańskiego programu kosmicznego. Od wielu lat krążą opinie, że wizyty te nie były przypadkowe: najprawdopodobniej miały związek z badaniami nad bronią V-1 i V-2 w okolicach Leśnej. Nie można wykluczyć, że podziemia zamku Czocha, za wiedzą jego właściciela, skrywały tajne niemieckie laboratoria. Może prowadzono tam badania nad bronią atomową, może nad bronią magnetyczną, może nad czymś zupełnie innym. To kolejny z sekretów tego imponującego zamczyska nad Kwisą, o którym często mówi się, że to jedno z najbardziej niesamowitych miejsc w Polsce. Czyż nie ma w tym racji?! ■

**Roman Baszkiewicz**

REKLAMA

**W PRENUMERACIE**

**DETEKTYW**

**ZAWSZE TANIEJ**

**POZNAJ KOD SZEKSPIRA**

**PHILIP GOODEN**

**SMIERTELNY SEN**

**KOD SZEKSPIRA**

**DZIEŁA GENIALNEGO DRAMATOPISARZA KRYJĄ MROczne TAJEMNICE**

PIERWSZY TOM SERII JUŻ W KSIĘGARNIACH

**Dzieła genialnego dramaturga kryją mroczne tajemnice**

W szesnastowiecznym Londynie dochodzi do zbrodni przypominającej fabułę "Hamleta". Czy dzieło Szekspira zainspirowało mordercę? A może opisuje historie, które zdarzyły się naprawdę?

# Kłątwa szamana

**Tomasz KRZEMIENÍ**

Zgłoszenie kradzieży, które wpłynęło na posterunek policji w P., małej miejscowości położonej na Mazowszu, od początku budziło wiele wątpliwości stróżów prawa. Jednakże ostatecznego wyniku śledztwa i towarzyszących mu okoliczności

pobocznych nie mógł przewidzieć żaden z zajmujących się sprawą śledczych, gdyż dotyczyły one materii bliższej ezoteryce niż utartym schematom myślowym, twardo stąpających po ziemi przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości.



**Z**awiadomienie o popełnieniu przestępstwa kradzieży policjanci posterunku policji w P. przyjęli późnym wieczorem jednej z wakacyjnych niedziel. Właściciele nowo wybudowanego domu relaksowali się podczas weekendowego wypadu na Mazurach. Bezpośrednio po powrocie uwagę ich przykuł brak pozostawionego w domu psa, dobrze ukrytej kasetki z kosztownościami i gotówką oraz brak drewnianej rzeźby przedstawiającej maskę wojownika – stanowiącej ozdobę holu klatki schodowej łączącej parter i piętro domu. Cała sprawa nie różniłaby się niczym od dziesiątek innych kradzieży zgłaszanych każdego wakacyjnego weekendu przez wracających z wypoczynku właścicieli, gdyby nie towarzyszące jej specyficzne okoliczności. Dom posiadał system monitoringu obsługiwany przez jedną z ogólnopolskich firm świadczących usługi z zakresu ochrony. W praktyce oznaczało to, że w każdym z pomieszczeń znajdowała się czujka ruchu, każdorazowo uruchamiająca się, po wykryciu poruszającego się obiektu o masie powyżej piętnastu kilogramów. Wykrycie ruchu powodowało uruchomienie syreny alarmowej, umieszczonej na elewacji budynku, wysłanie sygnału do firmy ochroniarskiej oraz telefon agencji ochrony do właścicieli, informujący o wykryciu zagrożenia i przyjazd patrolu interwencyjnego w ciągu dziesięciu minut od wykrycia ruchu w budynku. Nie trzeba chyba dodawać, że system monitoringu w trakcie nieobecności właścicieli w domu nie ujawnił żadnego niepokojącego zdarzenia. Drugą z okoliczności odróżniających niniejszy przypadek kradzieży od innych mu podobnych, był fakt ubezpieczenia przez właściciela mienia od kradzieży. Umowa z towarzystwem ubezpieczeniowym została zawarta niecałe trzy miesiące przed kradzieżą.

★ ★ ★

**E**kipa dochodzeniowa nie natrafiła na odciski palców innych osób niż właścicieli oraz nie znalazła dowodów mogących wskazywać na udział osób trzecich w zgłoszonej kradzieży. Drzwi wejściowe domu były nieuszkodzone. W zamkach nie ujawniono jakichkolwiek prób ich otwarcia, stolarka okienna nie posiadała śladów świadczących o chociażby próbie dostania się do wnętrza budynku. Dokonanie przeglądu systemu monitoringu potwierdziło, że działał on poprawnie. Wydruk z systemu agencji ochrony wskazywał, że system monitoringu feralnej niedzieli nie odnotował żadnych zdarzeń poza jego krótkotrwałą dezaktywacją, na około piętnaście minut, niedzielnego poranka. Dezaktywacja taka mogła w praktyce nastąpić tylko przy udziale osoby znającej czterocyfrowe hasło i po wpisaniu go na

klawiaturnie sterującej monitoringiem, znajdującej się na parterze domu. Jednakże żeby dostać się do klawiatury, oprócz znajomości hasła, trzeba było znaleźć się wewnątrz domu...

Właściciel posesji pewien swoich racji, zgłosił się do firmy ubezpieczeniowej, celem uzyskania rekompensaty za utracone w trakcie kradzieży mienie (pieniądze i kosztowności zgromadzone w kasetce). Towarzystwo ubezpieczeniowe rozpoczęło własne dochodzenie, mające wyjaśnić okoliczności kradzieży i być może domniemanej tylko utraty mienia przez właścicieli domu. Ujawnione przez policję okoliczności: dezaktywacja systemu monitoringu na piętnaście minut w dniu kradzieży oraz brak jakichkolwiek śladów mogących wskazywać na obecność osób trzecich w domu w dniu kradzieży, zaowocowały odmową wypłaty odszkodowania przez ubezpieczyciela. Wysokość odszkodowań i tak była niemożliwa do ustalenia, gdyż właściciele domu nie mogli określić zawartości kasetki z pieniędzmi i kosztownościami. Co więcej, towarzystwo ubezpieczeniowe złożyło na policję zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez właścicieli „okradzonego domu” polegającego na próbie wyłudzenia odszkodowania od ubezpieczyciela.

★ ★ ★

**P**o zgłoszeniu przez towarzystwo ubezpieczeniowe zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, stróże prawa prowadzili nie jedno, a dwa postępowania związane z domniemaną kradzieżą. Właściciele domu, w krótkim czasie „awansowali” z ofiar na pozycję bliską podejrzanym o dokonanie czynu zabronionego. Współwłaściciel domu, Piotr P., chcąc dowieść swoich racji i zmyć z siebie odium podejrzenia, na własną rękę próbował znaleźć dowody świadczące na jego korzyść. Okolicznością taką miało według niego okazać się zniknięcie psa, wieloletniego domownika, a w praktyce trzeciego członka rodziny. Ośmioletni pinczer miniaturka został pozostawiony sam w domu na dwa dni w związku z dolegliwościami żołądkowymi.

Po około miesiącu od dnia zgłoszenia kradzieży, Piotr P. znalazł w przydomowym garażu pod jedną z szafek, szmatę w brunatnych plamach przypominających krew. Ekipa techników śledczych poproszona o sprawdzenie tego faktu ujawniła nowe nieznane dotąd okoliczności. Zastosowanie przez techników środka chemicznego (na bazie luminolu) do zbadania śladów na szmacie i w garażu w pobliżu jej ukrycia pokazało, że wokół znajdowały się ślady po wiele większej plamie krwi, którą starto przy użyciu znalezionej szmaty. Pobrane próbki ujawniły, że była to krew zwierzęcia, najprawdopodobniej psa

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to



z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to



z domieszką krwi człowieka o grupie innej niż grupa krwi właściciela domu i jego żony.

Ujawnione nowe okoliczności trudno było nazwać przełomem w śledztwie, tym bardziej że nie można było określić z pełną stanowczością dokładnego czasu, w jakim szmata z plamami krwi znajdowała się wewnątrz garażu. Nie można było również wykluczyć, że odnalezione po tak długim czasie ślady krwi mogły zostać specjalnie spreparowane przez zaniepokojonych obrotem zdarzeń właścicieli domu. Co więcej, podstawowe pytania: jak osoba trzecia bez udziału Piotra P. i jego żony mogła samodzielnie dostać się do domu i wyłączyć na piętnaście minut system alarmowy, i czy z domu rzeczywiście coś zginęło? – pozostawały bez odpowiedzi.

Piotr P. i jego żona ze względu na ujawnione okoliczności i wątpliwości, które się z nimi pojawiły, być może nie obawiali się postawienia ich przed sądem w związku ze zgłoszoną przez towarzystwo ubezpieczeniowe próbą wyłudzenia odszkodowania, ale w praktyce pogodzili się z brakiem uzyskania odszkodowania za utraczone mienie i niemożnością rozwikłania zagadki zniknięcia kosztowności, pieniędzy i psa z ich domu. Jedynym namacalnym świadkiem minionych zdarzeń dla małżeństwa P. pozostawało puste miejsce na ścianie holu klatki schodowej po drewnianej masce afrykańskiego wojownika – pamiątki z pobytu w Afryce.

Piotr P. rozwiązał umowę z firmą świadczącą usługi monitoringu posesji, a wewnątrz domu zainstalował kilka kamer, z których obraz nagrywał się na dysk twardy komputera, co miało w przyszłości uchronić go przed sytuacją, kiedy osoba trzecia mogłaby dostać się na teren jego posesji i niepostrzeżenie wejść do domu. Nagrania z kamer, przechowywane przez miesiąc, miały stanowić w przyszłości zabezpieczenie interesów małżeństwa P.

★ ★ ★

**P**o około sześciu miesiącach od zdarzeń feralnej niedzieli, dzięki którym życie małżeństwa P. uległo dużym perturbacjom, pod adres ich domu przyszła paczka zawierająca zaginioną kasetę wraz z kosztownościami (jednak bez pieniędzy) i drewnianą maską afrykańskiego wojownika. Do przesyłki była dołączona kartka zawierająca jedno słowo „Przepraszam”. Piotr P. natychmiast powiadomił o zdarzeniu policję. Technicy kryminalistyki wzięli pod lupę zwrócone przedmioty i wyodrębnili z ich powierzchni odciski palców jednej osoby. Ujawnione linie papilarne porównano z odciskami palców zgromadzonymi w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej AFIS – dostępnym organom ścigania. Wprowadzenie do systemu odcisków palców pobranych z kasetki i drewnianej rzeźby

przyniosło rezultat w postaci zgodności ujawnionych odcisków z odciskami osoby znajdującymi się w bazie, należącymi do Damiana R. Osoby skazanej już poprzednio za kradzież, która obecnie miała przebywać na wolności. Dotarcie do adresu zamieszkania mężczyzny, będącego jednocześnie adresem zameldowania, nie stanowiło żadnej przeszkody dla śledczych. Damian R. okazał się wielce zdziwiony poranną, domową wizytą funkcjonariuszy. Co więcej, w jego oczach, wg słów przesłuchujących go stróżów prawa, malowało się prawdziwe przerażenie.

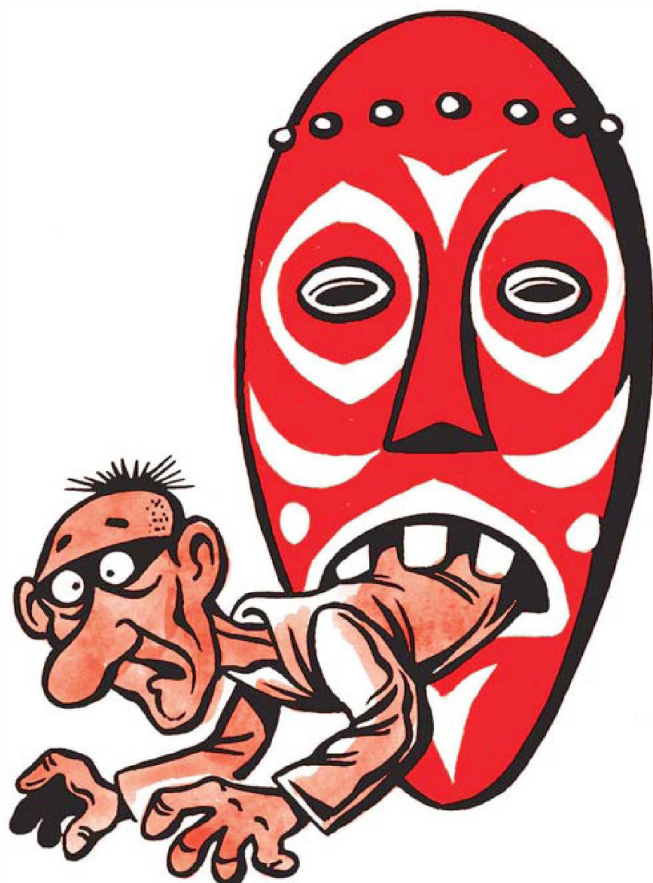
Bez zbędnych nacisków Damian R. przyznał się do dokonania kradzieży kasetki wraz z zawartością i drewnianej maski afrykańskiego wojownika z domu małżeństwa P. oraz do „uciszenia” ich psa, który go ugryzł. Stwierdził, że już słono za to zapłacił, dlatego zdecydował się zwrócić z powrotem prawowitym właścicielom „fanty”, jakie pozostały z kradzieży. Według jego słów po kradzieży drewnianej afrykańskiej rzeźby zaczęło na nim ciążyć jakieś fatum, w okresie zaledwie sześciu miesięcy od kradzieży: złamał nogę, doszczętnie „skasował” samochód i został pobity tak dotkliwie, że wyładował na OIOM-ie. W następstwie tych wszystkich zdarzeń udał się do wroża i ten powiedział mu, że ciąży na nim ciężka klątwa związana z „czarnym ludem” i powinien zwrócić to, co nie należy do niego. Od momentu zwrotu pozostałych „fantów” jedyną niesprzyjającą okolicznością, która go spotkała, była wyłącznie wizyta przesłuchujących go funkcjonariuszy policji. Skruszony złodziej dokładnie wyjaśnił okoliczności swojej kradzieży. Będąc tzw. „złotą rączką” chwycił się różnych prac, najczęściej budowlanych. Był m.in. członkiem ekipy glazurników, wykańczającej wnętrza domu małżeństwa P. Właściciele, w garderobie, pod zdejmowaną płytką podłogową zaplanowali umieszczenie przenośnej kasetki na kosztowności. Co więcej, on sam docinał i kładł płytki pod wymiary wskazanej kasetki – stąd wiedział gdzie i czego szukać. Modus operandi dostania się do mieszkania był genialny w swojej prostocie. Właściciele domu w trakcie budowlanych prac wykończeniowych, nie mając czasu na każdorazowe otwieranie i zamykanie drzwi ekipom budowlanym, i jednocześnie chcąc uniknąć dawania budowlancom kluczy do domu, postanowili zostawić im wyłącznie pilota do otwierania bramy garażowej (z garażu prowadziły bezpośrednio drzwi do wnętrza domu) i pilota do kodowania systemu monitoringu domu. W praktyce naciśnięcie dwóch przycisków w dwóch pilotach wyłączało monitoring domu i otwierało bramę garażową, jak to powiedział Damian R. „Sezam był otwarty”.

Przed zakończeniem prac glazurniczych Damian R. na popularnym internetowym serwisie aukcyjnym kupił pilota samokopiującego. Jest to

małe urządzenie niczym nieróżniące się wyglądem od np. pilota samochodowego, pozwalające jednak skopiować częstotliwość sygnału elektronicznego wysyłanego przez pilota „matkę” (co jest w tradycyjnej technologii odpowiednikiem dorobienia zapasowego klucza do domu). Po zakończeniu prac budowlanych ekipa zwróciła pilota do bramy garażowej i pilota do systemu monitoringu małżeństwu P. Jednak Damian R. miał już w tym czasie swojego pilota, ze skopionym sygnałem, pozwalającym na dostanie się do nowo wybudowanego domu. Ażebym nie budzić jakichkolwiek podejrzeń, odczekał około roku od wprowadzenia się właścicieli do domu. Znając ich zwyczaje i weekendowe wyjazdy na „żagle”, dostał się do ich domu w wakacyjną niedzielę. Nie spodziewał się co prawda psa, który głośnym ujadaniem mógł pokrzyżować jego plany, dlatego też „unieszkodliwił” czworonoga, posprzątał po sobie i zabrał jego zwłoki. Brak jakichkolwiek śladów linii papilarnych w domu wytłumaczył działaniem w lateksowych rękawiczkach. W praktyce w planie miał tylko zabranie kasetki spod płytki w garderobie, jednak schodząc po schodach, zobaczył rzeźbę twarzy afrykańskiego wojownika, która spodobała mu się na tyle, że wziął ją ze sobą, co jego zdaniem doprowadziło go do zguby.

★ ★ ★

**P**iotr P., właściciel drewnianej maski afrykańskiego wojownika, po zapoznaniu się z protokołem zeznań Damiana R., wtedy już oficjalnie oskarżonego o dokonanie kradzieży, opowiedział śledczym historię, w jaki sposób drewniana maska stała się jego własnością. Piotr P., jako inżynier, pracował dwa lata na kontrakcie w RPA. Maskę wojownika z afrykańskiego plemienia Caprivi w Namibii nabył w antykwariacie w Kapsztadzie, prowadzonym przez wiekowego Niemca. Antykwariusz opowiedział Polakowi o prowadzonym przez siebie biznesie i związanych z nim uciążliwościach. W antykwariacie, małym dwudziestokilmetrowym pomieszczeniu, na stołach i ścianach były gęsto ustawione, bądź wisiały najróżniejsze przedmioty, w większości związane bezpośrednio z Czarnym Łądem lub z okresem świetności III Rzeszy. W praktyce, gdy do pomieszczenia wchodziło kilku klientów, niemożliwe było upilnowanie wystawionych na sprzedaż eksponatów. Każdego miesiąca ginęło od kilku do kilkunastu przedmiotów. Antykwariusz nie mogąc sobie z tym poradzić, poprosił o pomoc starego afrykańskiego szamana parającego się czarną magią. Szaman wyprosił wszystkich ze sklepu, i w pomieszczeniu przebywał sam około godziny. Według słów Niemca, od chwili wizyty szamana



nic z antykwariatu nie zginęło, co więcej, do antykwariatu zaczęły przychodzić przesyłki zwracające ukradziony towar wraz z listami (które zawierały opowieści o dziwnych przypadkach przytrafiających się po kradzieży przedmiotów z antykwariatu), bądź czysta gotówka, jako zapłata za skradziony towar.

★ ★ ★

**D**amian R. w ramach recydywy został skazany za kradzież z włamaniem na karę trzech lat pozbawienia wolności. Mimo pobytu w zakładzie karnym osadzony czuje się wolny dzięki zrzuconemu z siebie fatum. ■

**Tomasz Krzemień**

REKLAMA

**KANCELARIA ADWOKACKA  
ADAM DEMECKI**



tel. 22 831 00 56, kom. 504 341 577

# Między niebem

Jarosław SZKLAREK

# a piekłem

Razem ze swoim partnerem dopuściła się potwornej zbrodni, za którą zostali skazani na najwyższy wymiar kary. Przebywając w więzieniu, przeszła

autentyczną przemianę, ale pomimo apeli ze strony wielu znanych osobistości, w tym papieża Jana Pawła II, aby ją ułaskawić, wyrok jednak wykonano.



**K**arla Faye Tucker urodziła się 18 listopada 1959 roku w Houston w Teksasie. Była najmłodszą z trzech sióstr. Jej ojciec Larry pracował jako doker w rejonie Zatoki Meksykańskiej, natomiast matka Carolyn zajmowała się wychowywaniem dzieci i prowadzeniem domu. Pierwsze lata życia Karli Faye były najszczęśliwsze. Rodzina często spędzała wakacje w małym domku położonym nad jeziorem w miejscowości Brazoria. Łowili tam ryby, jeździli na nartach wodnych i bawili się z psem. Z upływem czasu małżeństwo państwa Tuckerów zaczęło się psuć. Głównym powodem ich nieustannych kłótni była niewierność.

Kiedy Karla Faye miała dziesięć lat, jej rodzice rozwiedli się. W trakcie postępowania rozwodowego dziewczynka dowiedziała się, że jest owocem pozamałżeńskiego romansu. Ta wiadomość wywołała u niej ogromny szok. Opiekę nad dziećmi sąd przyznał ojcu, chociaż wszystkie trzy dziewczynki pragnęły zostać z matką. Mężczyzna próbował je zdyscyplinować, ale one w ogóle nie chciały go słuchać. Mieszkając z nim pod jednym dachem, szybko stały się krnąbrne i popadły w złe towarzystwo. W wieku dwunastu lat Karla Faye zaczęła zażywać narkotyki i uprawiać seks. Dwa lata później była już na tyle zbuntowana, że rzuciła szkołę.

Gdy ojciec nie mógł już sobie z nią poradzić, odesłał ją do matki. Carolyn Tucker nie była zadowolona z tego faktu, ponieważ zarabiała na życie jako luksusowa call girl i obecność nastolatki znacznie utrudniała jej przyjmowanie klientów w swoim mieszkaniu. Aby jakoś temu zaradzić, kobieta zaczęła namawiać córkę, żeby poszła w jej ślady. Dziewczyna pragnąc, aby matka była z niej dumna, przystała na te namowy i została prostytutką. Wkrótce obie jako tzw. grupie zaczęły podróżować po całym kraju razem z członkami zespołów rockowych The Allman Brothers Band, The Marshall Tucker Band oraz Eagles.

Mając szesnaście lat, Karla Faye poznała, a następnie poślubiła mechanika Stephena Griffitha. Na pozór ich małżeństwo wydawało się szczęśliwe, jednak w domowym zaciszu dochodziło między nimi do ciągłych awantur z powodu odmiennych charakterów, aż w końcu oboje mając już siebie dość, postanowili się rozstać. Niedługo potem dziewczyna zaprzyjaźniła się z kobietą o nazwisku Shawn Dean. W 1981 roku Shawn przedstawiła ją swojemu znajomemu, Danny'emu Garrettowi. Pracując do późna w nocy w Quay Point jako prostytutka, Karla Faye znalazła w nim idealnego partnera. Garrett nie zadawał żadnych niewygodnych pytań i całkowicie akceptował uprawianie przez nią najstarszego

zawodu świata. Co więcej, był podobnie jak ona uzależniony od narkotyków.

## Zbrodnia

**W** czerwcu 1983 roku w małym ceglanym domku w Houston w Teksasie, gdzie 23-letnia Karla Faye Tucker mieszkała z 37-letnim Dannym Garrettem, zorganizowano huczną imprezę, która trwała przez cały weekend. Balanga odbyła się z okazji urodzin Kari Ann, starszej siostry Karli Faye. Podczas przyjęcia wypito duże ilości alkoholu oraz zażyto sporo różnego rodzaju narkotyków. Kiedy wszyscy uczestnicy mieli już „ostro w czubie”, wówczas doszło między nimi do seksualnej orgii. Znaczna część rozmów na imprezie skupiona była wokół osoby Shawn Dean, która odeszła od swojego męża, Jerry'ego Lynna Deana. Tydzień wcześniej mężczyzna pobił ją dotkliwie po raz kolejny i zmaltretowana kobieta zdecydowała wtedy, żeby zostawić go na dobre.

Ze złamanym nosem i rozciętą wargą Shawn Dean brała udział w balandze, ale na jej twarzy przez cały czas malowało się przygnębienie. Jako że Shawn była najlepszą przyjaciółką Karli Faye, ta ostatnia odgrażała się, że da Jerry'emu porządną nauczkę. W pewnym momencie Danny Garrett wpadł na pomysł, żeby ukraść motocykl Jerry'ego Deana. Karla Faye Tucker oraz inny uczestnik imprezy, Jimmy Leibrant, przystali na tę propozycję z ochotą. Wiedzieli, że tym posunięciem dadzą mu nieźle do wiwatu. O swoich planach poinformowali coraz bardziej senną Shawn Dean, która skwitowała je krótko: – Powodzenia. To będzie odpowiednia lekcja dla tego łajdaka.

Przed wyjściem, Danny, Jimmy i Karla Faye ubrali się na czarno. Danny polecił Jimmy'emu zabrać strzelbę ukrytą pod kanapą, a sam wyjął ze schowka w samochodzie swoją trzydziestkę ósemkę i schował ją do buta. Broń była przeznaczona do ochrony przed ewentualnym atakiem w okolicy słynącej z wysokiej przestępczości, do której właśnie zamierzali się udać. Mieszkanie 27-letniego Jerry'ego Lynna Deana znajdowało się na parterze obskurnego budynku mieszkalnego w dzielnicy Quay Point. Około trzeciej nad ranem w poniedziałek, 13 czerwca 1983 roku, cała trójka zaparkowała swoje auto w pobliżu jego domu. Danny nakazał Jimmy'emu pozostać na zewnątrz i obserwować, czy przypadkiem nie przejeżdża tamtędy policja, podczas gdy on i Karla Faye spróbują w tym czasie wyłamać zamek w drzwiach frontowych mieszkania Jerry'ego Deana. Kiedy jednak po chwili znaleźli się przed nimi i Danny przekręcił w nich gałkę, drzwi niespodziewanie otworzyły się do wewnątrz. Para weszła do środka. Poruszając

się w ciemnościach wstrzymali oddech i uważnie wyciężyli słuch, lecz nie dosłyszeli żadnego podejrzanego dźwięku.

Przyświecając sobie latarką, wkroczyli do salonu, w którym natknęli się na częściowo rozmontowanego Harleya Davidsona. Jedno koło i inne elementy pojazdu leżały porzucane na brudnej plandecie rozciągniętej na podłodze. Obok motocykla znajdowała się otwarta skrzynka narzędziowa, a wokół niej wałały się wszędzie zatłuszczone narzędzia. O jedną ze ścian oparte były natomiast łopata i kilof. Początkowo czuli się rozczarowani znalezieniem motocykla w częściach, ale szybko doszli do wniosku, że skoro nie można będzie ukraść pojazdu w całości, to chociaż doprowadzą do trwałego uszkodzenia niektórych jego elementów. Nagle w szparze pod drzwiami sypialni Jerry'ego Deana zapaliło się światło: – „Kto tam jest, do diabła?!” – ryknął mężczyzna.

Karla Faye zamarta z przerażenia. W pierwszej chwili chciała stamtąd uciekać, ale po upływie kilku sekund zmieniła zdanie. Jej dłoń zacisnęły się w pięści. Wściekłość na Deana ostatecznie wzięła górę. Danny natomiast zareagował błyskawicznie. Chwycił młotek leżący obok skrzynki narzędziowej i wbiegł do sypialni. Karla Faye ruszyła w ślad za nim. Danny rzucił się na wstającego z łóżka Jerry'ego Deana i uderzył go młotkiem w głowę. Cios odrzucił mężczyznę do tyłu. Z nozdrzy buchnęła mu krew, a następnie pojawiła się także w kącikach jego ust. Nie wahając się ani przez moment, Danny zadał mu całą serię ciosów w głowę. Przy każdym uderzeniu przerażające echo roznosiło się po pokoju. Widok ten przyprawił Karłę Faye o dreszczyk emocji. Zapragnęła momentalnie przyłączyć się do tego mordy, ale Danny wydawał się doskonale radzić sobie sam. Nieoczekiwanie jednak los sprawił, że nie wszystko było dla niej stracone, ponieważ nagle dostrzegła młodą kobietę ukrytą pod kołdrą, która leżała na podłodze po drugiej stronie łóżka.

Wycofała się więc do salonu i chwyciła tam kilof oparty o ścianę. Powróciwszy z nim do sypialni, okrążyła łóżko i uniosła go wysoko nad głowę. Danny tymczasem przerwał dalsze masakrowanie czaszki Deana i z zaciekawieniem przyglądał się temu, co robi jego dziewczyna. Pierwsze uderzenie kilofem trafiło w tułów skulonej kobiety. 32-letnia Deborah Thornton krzyknęła tylko raz, a potem zaczęła charczeć. Ten dźwięk strasznie zirytował Karłę Faye i w efekcie spowodował, że zadała ofierze jeszcze więcej ciosów kilofem w klatkę piersiową, a potem także w nogi, brzuch i w ramiona. Kiedy w końcu Deborah Thornton przestała dawać jakiegokolwiek oznaki życia, umazana w jej krwi Karla Faye podeszła do Jerry'ego

Deana i dobiła go kolejnymi ciosami kilofa. Zanim oboje opuścili miejsce zbrodni, Danny wbił na koniec ostrze kilofa prosto w serce Deborah Thornton.

## Kara

Następnego dnia para morderców niewiele pamiętała z wypadków poprzedniej nocy, ale ogólnie byli zadowoleni z faktu, że „drań i suka” dzięki nim poszli do piekła. Właściciel budynku mieszkalnego, w którym doszło do zbrodni, odkrył ciała zamordowanych kobiety i mężczyzny, po czym niezwłocznie zatelefonował na policję. Rozpoczęło się śledztwo. Nie trzeba było długo czekać na to, aż policjanci wpadną na trop morderców. Wszyscy uczestnicy imprezy wiedzieli, że za tą podwójną zbrodnią stali Danny Garrett i Karla Faye Tucker, ponieważ oboje przechwalali się im swoim czynem. Gdy policja zaczęła ostro przesłuchiwać każdego z imprezowiczów, szybko wyszło na jaw wiele faktów. Obciążające zeznania przeciwko parze morderców złożyli kolejno brat Danny'ego, potem Kari Ann Tucker, Shawn Dean, a nawet Jimmy Leibrant, który przyznał się, że pojechał z nimi do mieszkania Jerry'ego Deana, ale czekał na zewnątrz, gdyż początkowo mieli zamiar ukraść tylko jego motocykl. 20 lipca 1983 roku Karla Faye Tucker i Danny Garrett zostali aresztowani.

We wrześniu 1983 roku postawiono oboje w stan oskarżenia za zamordowanie Jerry'ego Lynna Deana i Deborah Thornton. Sąd zdecydował, że oskarżeni będą sądzeni osobno. Podczas rozprawy wstępnej Karla Faye Tucker nie przyznała się do winy. W oczekiwaniu na proces przeczytała w swojej celi Biblię. To był moment jej wewnętrznej przemiany. Kobieta zaczęła głęboko żałować swojego dotychczasowego postępowania. Proces Karli Faye Tucker toczył się od 11 do 19 kwietnia 1984 roku w Houston w Teksasie. Rozprawie przewodniczyła sędzia Patricia Lykos. Po zapoznaniu się ze wszystkimi dowodami, przysięgli uznali oskarżoną winną popełnienia morderstwa pierwszego stopnia. Danny Garrett w późniejszej rozprawie sądowej również został uznany za winnego wszystkich stawianych mu zarzutów. Przed końcem 1984 roku oboje skazano na karę śmierci. W przypadku Garretta nie doszło do wykonania wyroku, ponieważ mężczyzna zmarł w więzieniu w 1993 roku z powodu choroby wątroby.

Po zakończeniu procesu Karla Faye Tucker została przeniesiona do bloku śmierci znajdującego się w zakładzie karnym Mountain View w Gatesville w Teksasie. Dzielila tam celę z inną kobietą skazaną na najwyższy wymiar kary, Pam Perillo, której później zamieniono wyrok śmierci

na dożywotnie pozbawienie wolności bez możliwości ubiegania się o zwolnienie warunkowe. Obie kobiety szybko się ze sobą zaprzyjaźniły. Świat zewnętrzny mogły oglądać jedynie przez małe zakratowane okienko w ich celi. Karla Faye zdawała sobie sprawę, że jej nadzieje na uwolnienie są nierealne, więc pragnęła chociaż, aby zamieniono jej wyrok śmierci na dożywocie. Za pośrednictwem swoich adwokatów złożyła wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy, ale sędzia Patricia Lykos odrzuciła jej prośbę. Dalsze odwołania do Sądu Apelacyjnego również były odrzucane. 25 czerwca 1989 roku Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych odrzucił z kolei jej inny wniosek.

### Odkupienie

**W** 1995 roku Karla Faye poślubiła wielbego Dana Lane'a Browna, który był jej więziennym kapelanem. Jako skazana na śmierć, nie została dopuszczona do wzięcia udziału w ceremonii, toteż Brown zawarł z nią związek małżeński poprzez pełnomocnika w Waco w Teksasie. Podczas czternastoletniego pobytu w celi śmierci, Karla Faye Tucker była odwiedzana w więzieniu przez różne znane osobistości, które wierzyły w jej autentyczną przemianę. Wśród nich były między innymi: była Miss Ameryki Terry Meeuwsen oraz katolicka zakonnica, siostra Helen Prejean. Częstym gościem Karli Faye w bloku śmierci był także brat zamordowanej przez nią Deborah Thornton, Ron Carlson, który początkowo domagał się wykonania na niej zasądzonego wyroku, lecz później usłyszał o jej nawróceniu i wybaczył kobiecie ogrom zła, które mu wyrządziła. Kiedy przypadek Karli Faye Tucker zwrócił uwagę krajowych i światowych mediów, na rzecz ułaskawienia morderczyni zaczęli działać również: spiker Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych Newt Gingrich, kaznodzieja Pat Robertson, papież Jan Paweł II i premier Włoch Romano Prodi. Wszystkie instytucje, do których wysłano petycje o ułaskawienie kobiety, nie skorzystały jednak z tego prawa. Gubernator stanu Teksas George W. Bush również postanowił nie interweniować w tej sprawie.

Na dzień przed egzekucją, Karłę Faye Tucker przetransportowano samolotem do zakładu karnego Huntsville Unit w miasteczku Huntsville w Teksasie, gdzie znajdowała się komora straceń. Ostatnie godziny życia kobieta spędziła w towarzystwie swojego męża Dana Browna oraz kilku członków rodziny i przyjaciół. Na ostatni posiłek poprosiła o sałatkę warzywną w sosie ranch, dojrzałą brzoskwinie i banana. Kilkanaście minut po szóstej po południu we wtorek 3 lutego 1998 roku strażnicy poprowadzili 38-letnią Karłę



Faye Tucker do komory straceń, w której przypięto ją skórzanymi pasami do specjalnych noszy przytwierdzonych śrubami do podłogi. Następnie do żyły na ramieniu wkłuto jej wenflon, który został podłączony do pompy infuzyjnej. Pracę serca kobiety monitorował kardiomonitor. Kiedy naczelnik więzienia zapytał ją o ostatnie słowa, Karla Faye Tucker skierowała głowę w stronę dwóch oddzielnych pokojów dla świadków będących za szybą, po czym rzekła: „Chciałabym powiedzieć wam wszystkim, a zwłaszcza rodzinie Deborah Thornton i Jerry'ego Deana, że jest mi tak przykro. Mam nadzieję, że Bóg sprawi, iż w waszych sercach zagości wreszcie spokój”. Potem wyszeptała słowa pożegnania do swojego męża i podziękowała naczelnikowi za to, że był dla niej dobry w ostatnich godzinach życia. Gdy zakończyła przemowę, w jej żyły zaczęto pompować trzy środki chemiczne: tiopental, pankuronium i chlorek potasu. Po upływie ośmiu minut od otrzymania śmiertelnego zastrzyku oficjalnie stwierdzono jej zgon. Karla Faye Tucker była pierwszą kobietą straconą w stanie Teksas od 1863 roku. Jej ciało zostało złożone do grobu na cmentarzu Forest Park Lawndale w Houston. ■

**Jarosław Szklarek**

# DRAMAT

Leon MADEJSKI

## w filharmonii

Victoria J. swojego przyszłego zabójcę po raz pierwszy zobaczyła w czwartek wieczorem, na próbie przed piątkowym przedstawieniem. Mężczyzna siedział na pustej widowni i – jak twierdzi kilku świadków – niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w artystkę z Warszawy. Nie wiadomo co takiego w niej zobaczył. Urodę? Talent? A może w tak dziwny sposób podziałały na niego dźwięki harfy, na której grała jego przyszła ofiara? Możemy tylko mnożyć pytania, na które tylko oskarżony zna odpowiedź...



**P**racownicy filharmonii w Jeleniej Górze pewnie przed długie lata będą pamiętać piątkowy poranek 8 marca 2013 roku. Przyszli do pracy kilkanaście minut po siódmej, ale ku ich zdziwieniu drzwi wejściowe do budynku były zamknięte. Ich zaniepokojenie było jak najbardziej zrozumiałe. W budynku przez całą dobę obecny był ochroniarz, którzy w razie potrzeby, nawet w środku nocy, otwierał lub zamykał wejście do budynku. Ludzie wielokrotnie wciskali przycisk dzwonka, jednak nikt do nich nie wychodził. Może gdzieś wyszedł? Może zasłabł i nieprzytomny leży wewnątrz budynku, czekając na pomoc... Czas ich naglił, bo o ósmej miała rozpocząć się próba granego wieczorem przedstawienia „Muzyczne pary”, przedtem każdy chciał się przygotować, nałożyć na siebie kostium, napić się łyk kawy...

– *A klucze zapasowe? Może ktoś ma klucze zapasowe do drzwi wejściowych, żebyśmy weszli do środka* – zaproponował ktoś z kilkusobowej grupy stojącej na chodniku. Pomysł był może i dobry, ale nikt nie wiedział, gdzie znajdują się klucze, albo kto może być w ich posiadaniu.

– *Trzeba zadzwonić na policję* – rzucił ktoś inny.

– *Chyba lepiej po straż pożarną* – poradził następny pracownik czekający pod zamkniętymi drzwiami.

To ostatnie rozwiązanie okazało się najlepsze. Kilka minut później pod gmach filharmonii podjechali strażacy. Po sprawdzeniu co się dzieje – i upewnieniu się, że nie jest to głupi dowcip – jeden ze strażaków wybił szybę i wszedł do wnętrza pomieszczenia. Zaczął szukać ochroniarza-portiera, który powinien być gdzieś wewnątrz. Tajemnica jego nieobecności wyjaśniła się minutę później. Mężczyzna leżał na podłodze obok swojego pomieszczenia, w którym pełnił dyżur, w kałuży krwi. Poszarpane ubranie, nie-naturalne ułożenie ciała, a przede wszystkim pasek na szyi nie pozostawiały wątpliwości, że mężczyzna został zamordowany. Jak wykazała przeprowadzona kilka dni później sekcja zwłok, ochroniarzowi zadano ponad sześćdziesiąt ran nożem, młotkiem i innym nieustalonym typem narzędziem.

Strażacy mogli tylko poinformować policję o makabrycznym odkryciu. Kilka minut później pod budynek filharmonii podjechały policyjne radiowozy. Zaczęły się rutynowe oględziny miejsca zabójstwa i zabezpieczanie śladów pozostawionych przez przestępcę. W ramach tych działań śledczy sprawdzali cały budynek filharmonii. Kilkanaście minut później, w pokoju na pierwszym piętrze, znaleziono skrępowane ciało młodej kobiety. Denatką okazała się młoda artystka, która tego dnia miała wystąpić na specjalnym koncercie z okazji Dnia Kobiet. Miała zagrać utwory Piotra Czajkowskiego *Uwerturę – fantazję Romeo i Julia* i wstęp do dramatu muzycznego *Tristan i Izolda* Richarda Wagnera. Przyjechała do Jeleniej Góry poprzedniego dnia i za wiedzą dyrekcji nocowała tam w tzw. pokoju gościnnym. Ona też została zamordowana! Kobieta

miała ręce skrępowane sznurkiem, a usta zaklejone taśmą. Liczne zadrapania na jej ciele wskazywały, że walczyła z zabójcą, jednak nie miała dość siły, by wygrać tę walkę o życie.

– *To była młoda dziewczyna, pierwszy raz była w naszej filharmonii, nawet nie wiem, jak się nazywała* – opowiadał dziennikarzom w piątkowe przedpołudnie jeden z pracowników filharmonii. – *Nie była naszym pracownikiem, przyjechała dzień wcześniej z Warszawy w zastępstwie innej harfistki, która w ostatniej chwili odwołała swój przyjazd. Dla wszystkich było jasne, że popołudniowy koncert z okazji Dnia Kobiet musi zostać odwołany. Bardzo tego żalowaliśmy, ale z drugiej strony nie sądzę, by w takiej atmosferze i sytuacji bylibyśmy w stanie cokolwiek zagrać, a ludzie byliby w stanie wysłuchać koncertu. Wreszcie najważniejsza rzecz – w budynku cały czas była policja i prokurator, którzy zabezpieczali ślady zabójstwa, nikt nie wiedział, jak długo będą tu pracować.*

– *Widać było, że harfa to jej ukochany instrument, że to nie tylko zawód, ale i pasja* – mówił o zamordowanej harfistce jeden z dyrygentów. – *Poznaliśmy się na próbie. Przyjechała świetnie przygotowana, młoda śliczna kobieta, która reagowała na wszystkie uwagi. Fantastycznie realizowała moje prośby. Widać było, że żyła tym instrumentem. Podchodziła do niego z całym sercem i teraz w niebie będzie grała. W wielu salach koncertowych już grałem, z wieloma młodymi artystami miałem do czynienia, ale naprawdę niewielu z nich podchodziło do muzyki z taką pasją. Była, w dobrym tego słowa znaczeniu, fanatyczką tego instrumentu. Sposób, w jaki ona żyła, nie tylko grając palcami, ale też mimiką i ciałem – widać było, że to jej ukochany instrument, że to nie tylko zawód, ale i pasja.*

Podwójna zbrodnia w cichym i spokojnym mieście wstrząsnęła nie tylko mieszkańcami Jeleniej Góry, ale i całej Polski. – *Zawsze czułem się w tym mieście bezpieczny, kiedyś człowiek mógł w nocy pieszo wracać do domu, a teraz, po tym zabójstwie, rzadko kto czuje się tutaj bezpieczny, bo nie wiadomo, o co w tym dokładnie chodzi* – opowiadał mieszkaniec pobliskiej kamienicy. – *Mieszkam tu od urodzenia i nigdy takiego morderstwa tutaj nie było odkąd pamiętam, choć jakiś czas temu przypadkowo został zabity miejscowy piekarz.*

## Motyw

**D**la jeleniogórskiej policji dość dużym wyzwaniem było ustalenie motywu podwójnego zabójstwa. Filharmonia podobnie jak teatr i opera to świątynia sztuki, w których zwykli „śmiertelnicy” mogą czuć się trochę skrępowani. Było raczej nieprawdopodobne, by sprawcą kierował motyw rabunkowy. Od samego początku policja i prokuratura miały świadomość, że sprawa jest trudna i zagmatwana. Nie było nawet stuprocentowej pewności, czy denaci zostali zamordowani. Teoretycznie nie można było wykluczyć, że sprawcą



## ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI

zabójstwa artystki był ochroniarz, który potem odebrał sobie życie.

– *Ta tragedia postawiła pracowników naszej policji i prokuratury na równe nogi – zapewniała przedstawicielka prokuratury. – Pracujemy w nadprogramowych godzinach, a akcja policyjna w razie potrzeby będzie trwała nieprzerwanie całą noc. Na tym etapie sprawy nie można oczywiście wykluczyć, że doszło najpierw do zabójstwa, a potem do samobójstwa. Ale z informacji, które posiadamy, bardziej prawdopodobne jest, że mamy do czynienia z podwójnym zabójstwem. Pewność będziemy mieli po przeprowadzeniu sekcji zwłok, co nastąpi prawdopodobnie w poniedziałek.*

Na miejscu zabójstwa technicy mieli do zabezpieczenia bardzo wiele śladów, w tym te, które pozostawił najprawdopodobniej zabójca: odciski palców, butów, zakrwawiona bluza. Największym zaskoczeniem był jednak list, trzy krótkie zdania nakreślone na białej kartce papieru: „Anna niczemu niewinna. Wszystko przez hazard. Poległem”. Ślady krwi na papierze sugerowały, że napisał je zabójca.

I znowu pojawiły się pytania: Kim jest Anna? O jaki hazard chodzi? Ko i dlaczego poległ? Jaki to wszystko miało związek z podwójnym zabójstwem w filharmonii?

### Trudne pytania bez odpowiedzi

**W**iele osób w Jeleniej Górze zadawało sobie pytanie: co się wydarzyło feralnej nocy z czwartku na piątek. Przecież filharmonia to oaza spokoju i sztuki, a nie miejsce zabijania artysty, czy pracownika ochrony. Brak śladów włamania na drzwiach wejściowych niedwuznacznie potwierdzał tezę, że sprawca był znany portierowi, który go wpuścił do wnętrza budynku w środku nocy!

Morderca musiał dobrze znać wnętrze filharmonii. Obcy łatwo w nim pobłądzi, bo mnóstwo tu korytarzy i pomieszczeń, trzeba wiedzieć, jak dotrzeć do przybudówki, w której były pokoje gościnne dla nocujących tu artystów.

Ofiary nie знаły się ze sobą, zresztą tamtej nocy widziały się pierwszy raz w życiu. Ochroniarz pracował w tym budynku od dwudziestu kilku lat, artystka po raz pierwszy w życiu przyjechała do Jeleniej Góry. Nigdy tu nie była.

Może zabójca po zakończeniu czwartkowej próby ukrył się w budynku i już wtedy miał nieczyste plany w stosunku do harfistki. Może poczekał, aż nikt nie będzie go niepokoił, po czym zapukał do pokoju artystki, przedstawiając się jako portier. Kobieta nie spodziewając się żadnego podstępu, otworzyła drzwi, co było początkiem późniejszego dramatu. Kiedy już ją zamordował, jak gdyby nigdy nic zszedł do wyjścia, gdzie natknął się na portiera. Ten nie chciał go wypuścić, doszło do szarpaniny, w trakcie której bandyta zadał śmiertelne ciosy nożem, zabrał klucz i zamknął drzwi wejściowe od zewnątrz budynku.

A może przyczyna tego dramatu była zupełnie inna? Może zabójca chciał zamordować tylko jednego z denatów, zaś drugi zginął tylko dlatego, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie. – *Nie mogliśmy wykluczyć, że ktoś przyszedł zabić ochroniarza, bo chciał się na nim za coś zemścić – opowiadał jeden z jeleniogórskich policjantów. – I tak się pechowo złożyło, że w tym momencie na portiernię zeszła harfistka, która chciała się o coś zapytać. Kobieta zobaczyła zbyt wiele, niepotrzebnie krzyknęła, próbowała uciekać... Co w tej sytuacji miał zrobić zabójca? Musiał ją również zamordować, by pozbyć się niepotrzebnego świadka zabójstwa. By utrudnić nam pracę, zasugerował seksualne tło drugiego zabójstwa, choć wcale tak nie było.*

### „Nie pamiętam”...

**O**d pierwszych godzin śledztwa jedynym podejrzanym w tej sprawie był pracownik jeleniogórskiej filharmonii – 29-letni Michał M. Policja ujawniła tę informację dopiero kilka dni po zatrzymaniu mężczyzny. Na trop ten naprowadziła analiza monitoringu z kamer wideo skierowanych na wejście do filharmonii oraz ślady zabezpieczone na miejscu zabójstwa. Pozostało tylko ustalenie miejsca pobytu podejrzanego. Miał on przy sobie telefon komórkowy. Aparat był cały czas w stanie czuwania, dlatego ustalenie miejsca pobytu jego właściciela – dzięki wzorcowej współpracy z operatorami sieci komórkowej – nie nastęrczało żadnych problemów.

Michał M. został zatrzymany w piątkowe popołudnie 8 marca 2013 roku, w pociągu w Jaworznie, jadącym z Krakowa do Katowic. Był kompletnie zaskoczony, nie stawiał oporu. Od zabójstwa w Jeleniej Górze nie minęła jeszcze doba, a na jego dłoniach zatrzaśnięto kajdanki.

Pierwsze przesłuchanie trwało ponad sześć godzin. Michał M. przyznał się do obydwu zabójstw, jednak na większość pytań odpowiadał „nie wiem”, „nie pamiętam”, „nie jestem w stanie sobie przypomnieć”. Miejscami jego wyjaśnienia były niespójne, dało się wyczuć, że mężczyzna próbuje coś ukryć, albo najzwyczajniej w świecie kłamał.

W sobotę 9 marca 2013 roku, późnym wieczorem, odbyła się wizja lokalna, podczas której – krok po kroku – pokazywał śledczym, jak dokonał podwójnego zabójstwa. Tego samego dnia sąd zdecydował, że mężczyzna najbliższe trzy miesiące spędzi za kratkami.

★ ★ ★

**P**odejrzany w trakcie śledztwa był czterokrotnie przesłuchiwany. Przy okazji kolejnych spotkań z prokuratorem stawał się coraz bardziej rozmowny i przy każdej kolejnej rozmowie przedstawiał więcej szczegółów na temat dokonanych zabójstw. Podczas postępowania udało się ustalić zarówno motyw tych zbrodni, jak i przebieg drama-

tycznych zdarzeń z dokładnością do kilkudziesięciu minut. Jak wynika z nagrania kamery monitoringu, zamontowanej przy wejściu do filharmonii, sprawca wyszedł siódmego marca z pracy po godzinie dwudziestej pierwszej. Do budynku wszedł ponownie około godz. 23.30. Pierwszego zabójstwa dokonał ósmego marca pomiędzy godziną 1.08 a 1.30, a 59-letniego ochroniarza Pawła K. zabił pomiędzy 1.51 a 2.30. W chwili zbrodni najprawdopodobniej był pijany.

Biegli psychiatrzy nie stwierdzili u oskarżonego żadnych zaburzeń i według ich diagnozy w chwili popełnienia zabójstwa był w pełni poczytalny i zdolny do ocenienia własnych czynów. Żadnych zaburzeń nie stwierdził również biegły psycholog. Przyznał on, że poziom inteligencji Michała M. jest wyższy niż średni poziom dla jego grupy wiekowej.

W ostatnim dniu 2013 roku jeleniogórska prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Michałowi M. Mężczyzna usłyszał zarzuty podwójnego zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem, gwałtu ze szczególnym okrucieństwem oraz roboju z użyciem noża. Szczegółów tych zarzutów jednak nie ujawniono, bowiem prosiła o to matka zamordowanej harfistki. Prokurator uszanował jej wolę i nie wdawał się w szczegółowe wyjaśnienia. Wiadomo tylko tyle, że motyw tego zabójstwa był bardzo złożony i złożyło się na niego kilka przyczyn. Z uwagi na dobro osób pokrzywdzonych i ich rodzin, prokurator składając akt oskarżenia do sądu, wniósł również o wyłączenie jawności rozprawy głównej w całości, co zdarza się niezwykle rzadko. – *Tak okrutne zbrodnie, jak ta w filharmonii, zdarzają się raz na wiele lat – przyznała rzeczniczka jeleniogórskiej prokuratury. – Można ją chyba tylko porównać do podwójnego zabójstwa kobiet w Kowarach z czerwca i lipca 2007 roku.*

Pracownicy jeleniogórskiej filharmonii przez długi czas zadawali sobie pytania, czy to możliwe, by jeden z ich pracowników dopuścił się makabrycznego, podwójnego zabójstwa. Tak jakby łudzili się, że sprawcą okaże się ktoś inny, spoza ich znajomych. Czy mogli w ogóle to przewidzieć? Czy cokolwiek w jego zachowaniu mogło sugerować nadciągający dramat? Jak jeden mąż wszyscy powtarzają, że mężczyzna był zżyty z innymi pracownikami i powszechnie lubiany. Zawsze chętny do pracy, kiedy trzeba było zostawał dłużej w pracy i nie pytał o nadgodziny. Nikt nie zauważył, by działo się z nim coś złego lub podejrzanego. Kilka osób wiedziało, że jak sobie wypił, zdarzało mu się być agresywnym, ale przecież wielu mężczyzn jak wypije zbyt wiele, dostaje małego rozumu i M. nie był na ich tle jakimś wyjątkowym przypadkiem. Choć z drugiej strony, często padały opinie, że Michał M. był skryty i zamknięty w sobie, a o jego życiu prywatnym tak naprawdę większość nie potrafiła nic powiedzieć.

Przy okazji tragedii w Jeleniej Górze niektórzy artyści zaczęli opowiadać o negatywnych stronach



swojej pracy, o czym zwykli ludzie nie zawsze mają pojęcie:

– Smutny jest los artystów, którzy za nędzne grosze muszą podejmować dalekie podróże, muszą spać byle gdzie, być narażeni na kontakty z byle kim.

– Dlaczego tej harfistce nie załatwiono noclegu w porządnym hotelu. Pewno komuś się nie chciało zrobić rezerwacji albo żał było pieniędzy. Nie było żadnej instalacji antynapadowej w tych pokojach, zakładano, że wszyscy pracownicy filharmonii to jedna zaufana rodzina.

Niestety, w tej rodzinie trafiła się jedna czarna owca...

### Chciała grać dłużej i więcej

**Z**amordowana w jeleniogórskiej filharmonii Victoria J. studiowała na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie. Ukończyła także polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, pasjonowała się kulturą hiszpańską i iberoa amerykańską. Koncertowała w wielu krajach, a w lutym 2013 roku zainaugurowała Rok Lutosławskiego w Meksyku. Jej specjalnością była gra na harfie. Niewątpliwie harfa kojarzy się wszystkim z bardzo starym instrumentem. Z celtyckimi dźwiękami i nastrojowymi balladami. Nie wszyscy

wiedzą, że harfa jest jednym z najtrudniejszych instrumentów, bo pochodzi od łuku i naciągniętej cięciwy. To właśnie cięciwa zainspirowała ludzi, żyjących wiele tysięcy lat temu, do stworzenia harfy, której dźwięki niosą uspokojenie i zadumę.

Miała ogromne plany na przyszłość. Pragnęła kontynuować studia polonistyczne doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim oraz kontynuować studia harfowe podyplomowo. Planowała również trasę koncertową po Hiszpanii.

Wykładowcy, koleżanki i koledzy nie mogli uwierzyć w jej bezsensowną śmierć. Przed budynkiem uczelni opuszczono flagę do połowy masztu, a na stronie internetowej zamieszczono nekrolog. Nie były to żadne frazesy, które padają po niespodziewanej, tragicznej śmierci, jednak dała się poznać, jako niezwykle utalentowana artystka, przed którą kariera stała otworem. Z różnych doniesień prasowych i pośmiertnych wspomnień wylania się obraz niezwykle utalentowanej artystki. Każde zabójstwo to bezsensowna śmierć, ale dopiero z perspektywy czasu widać, że w tym wypadku polska kultura straciła niezwykle utalentowaną osobę, która – gdyby pozwolić jej na szlifowanie talentu – mogła naprawdę zawojować świat!

– Często była zapraszana do filharmonii w innych miastach, także zagranicznych – opowiadał rektor warszawskiej uczelni. – *To dla młodej harfistki wielkie wyróżnienie i zaszczyt. Niedawno wróciła z Meksyku, gdzie wzięła udział w koncercie inauguracyjnym Rok Witolda Lutosławskiego. Dyrygowałem wykonaniem „Niemieckiego Requiem” Brahmsa, w którym grała na harfie. Była bardzo zaangażowana i przejęta...*

– *Poznałam Victorię jako uczennicę naszej szkoły. Weszła do mnie ze swoją mamą i od razu podeszła do harfy, zachłystnęła się widokiem tego eleganckiego instrumentu. Myślę, że od początku to była jej droga – opowiadała w reportażu radiowym pierwsza nauczycielka Victorii. – Miała tak delikatne opuszki palców, że w trakcie gry i ćwiczeń potrafiły pęknąć. Ona cały czas walczyła i pytała, co może z tym zrobić, żeby móc grać dłużej i więcej.*

– *Victoria była osobą cichą, skrytą, zamkniętą, ale jak się okazało bardzo ambitną i kochającą grę w orkiestrze. Pojawiające się trudności powodowały, że znajdowała w sobie siłę i chęć przezwyciężenia ich. Wiedziałem, że mogłem na nią liczyć jako na muzyka – pracowała sama i zawsze była dobrze przygotowana – wspominał inny z nauczycieli.*

– *Byłaś mi bardzo bliską osobą, nie tylko jako człowiek, ale i duchowo, z racji naszych talentów, którymi obdarzył nas Ktoś Najwyższy i który połączył nasze drogi, by móc tworzyć to ulotne i jedyne w swoim rodzaju piękno, którym jest nasza ukochana muzyka... – napisał na swojej stronie po otrzymaniu tragicznej informacji Mariusz M., flecista koncertujący z Victorią w duecie.*

– *Kochana Victorio – dla nas wszystkich byłaś wyjątkowa... – wspominały ją koleżanki z roku, z którymi miała zagrać w czerwcu 2013 roku dyplom*

*studiów magisterskich. – Wybitna, wszechstronnie uzdolniona, obdarzona wieloma talentami. Twoją największą pasją życiową była muzyka, a w szczególności harfa. Uwielbiałaś grać w orkiestrze i zarazem spełniałaś się w swoich ukochanych duetach, grając na harfie ze śpiewem lub z fletem. Byłaś perfekcyjna i elegancka pod każdym względem. Spełniałaś swoje największe marzenia, czego przykładem był wyjazd do Meksyku. Wróciłaś taka szczęśliwa, przepelniona energią i z wielkimi planami na przyszłość. Nie ominęłaś żadnej okazji, aby swoją grą uszczęśliwić wszystkich, którzy pragnęli obcować z Twoją cudowną muzyką. Taką Cię zapamiętamy – wyjątkową, wszechstronnie uzdolnioną, do końca aktywnie koncertującą, dającą ludziom radość. Na zawsze młodą i piękną...*

– *Jak tu nie wierzyć w przeznaczenie, pojechać na próbę koncertu jednorazowego, żeby spać w pokoju gościnnym, żeby uczestniczyć akurat tej nocy w takim zdarzeniu, żeby umrzeć. Mój Boże! Dostajesz świetną harfistkę na koncerty w niebie. Ja, możesz być pewien, założę tam teatr, bo obsady i reżyserzy czekają tam gotowi. Zresztą gdyby mnie do Nieba nie wzięto, to w piekle też otworzę teatr i tam artyści czekają, jak mniemam. Tylko za co artysta miałby iść do piekła? Za złą sztukę? – napisała kilka dni później w internecie znana aktorka Krystyna Janda na wieść o tragicznej śmierci Victorii.*

Victoria J. swojego przyszłego zabójcę po raz pierwszy zobaczyła w czwartek wieczorem, na próbie przed piątkowym koncertem. Mężczyzna siedział na pustej widowni i – jak twierdzi kilku świadków – niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w artystkę z Warszawy. Nie wiadomo co takiego w niej zobaczył. Urodę? Talent? A może w tak dziwny sposób podziały na niego dźwięki harfy, na której grała jego przyszła ofiara? Możemy tylko mnożyć pytania, na które tylko oskarżony zna odpowiedź...

## Obłąd i szaleństwo

**T**o był miły, uczynny chłopiec – wspominał jeden z wrocławskich znajomych oskarżonego. – *Aż kiedyś, chyba przed maturą, coś mu odbiło i zaczął się staczać. Alkohol, może jakieś narkotyki, podobno też hazard. Rodzice stawiali na głowie żeby mu pomóc, wywieźli na jakąś zamkniętą terapię, potem ponoć nawet za granicę, żeby zerwać jego kontakty ze złym towarzystwem. To było dawno... jakieś 10 lat temu, może nawet więcej. Podobno stamtąd uciekł i wrócił do kraju, po czym znalazł starszą dziewczynę w Jeleniej Górze. Zaczął pracować i wydawało się, że wszystko układa się normalnie, a tu nagle... wciąż nie mogę się otrząsnąć...*

– *Nic nie wskazywało na to, że może dojść do takiego dramatu – tak o podejrzanym o podwójne zabójstwo mówiła dyrektorka Filharmonii Dolnośląskiej. – Bez problemu wykonywał polecenia i przyjmował pracę za innych. Był pracownikiem*

technicznym, ustawiał estradę. Zaaklimatyzował się w ekipie technicznej i właściwie nic nie wskazywało na to, że może do czegoś takiego dojść. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego w ogóle doszło do tego dramatu. Nadal nie może to wszystko do mnie dotrzeć. Przed nami jeszcze długa droga, kiedy dowiemy się, jak to było naprawdę. Jestem bardzo wstrząśnięta tą tragedią. Czujemy się, jakby to był makabryczny sen, a musimy z tym żyć...

Urodził się, całe dzieciństwo i młodość spędził we Wrocławiu. Pochodził ze zwykłej, niczym niewyróżniającej się rodziny. Rodzice pracowali, by tylko zapewnić jak najlepsze warunki dziecku. W szkole podstawowej jeszcze nie było z nim problemów. Te ostatnie pojawiły się w szkole średniej. W nowej szkole chciał czymś zaimponować kolegom, a ponieważ nie wiedział czym, więc zaczął sięgać po narkotyki. Że niby taki mocny, światowy, ma kontakty z dilerami... Najpierw jakaś tania „trawka”, potem amfetamina. Z czasem organizm zaczął domagać się czegoś silniejszego. Sięgnął po heroinę.

– Z rodziną miał dobry kontakt, bo chcieli mu pomóc, ale on myślał, że sam sobie da radę – opowiada bliski znajomy rodziny M. – Miał za sobą 3-letnie leczenie i myślał, że ma już to za sobą, a w pewnym momencie znowu zaczął wpadać w szpony hazardu. Za kobietami nie latał, a tym bardziej nie na tyle żeby gwałcić, bo niejedna by z nim poszła. On był zakochany w starszej kobiecie i chciał jej udowodnić, że mogą być razem, że się zmieni, ale ona nie widziała w nim partnera z powodu hazardu. Chciała mu pomóc. To dobra kobieta, ale Michał też jej pomagał jak mógł. Więc cała sytuacja była wynikiem jakiegoś obłądzenia, szaleństwa i trudno tu się doszukiwać motywów. Bezsensowne śmierci, a on... też jakby już go nie było. To ogromny dramat trzech rodzin...

Rodzice z przerażeniem patrzyli, jak ich dorastający syn zaniedbuje się w szkole, jak coraz mocniej staje się uzależniony od narkotyków. Chłopak obiecywał poprawę, ale na obietnicach się kończyło. – Chyba przesadzacie z tymi narkotykami, przecież ja wcale nie jestem uzależniony – przekonywał ich. – To, że zapalę sobie skręta na imprezie, to jeszcze żaden nałóg. Dzisiaj prawie wszyscy moi rówieśnicy sięgają po różne prochy i substancje. Czuli, że muszą coś zrobić z jego życiem, ale nie umieli mu pomóc. Proponowali, by udał się do jakiejś poradni, ale nie zważał w ogóle na ich prośby. A on coraz bardziej się zaniedbywał, znikał na całe wieczory i noce, kładł się spać w rzeczach, w których przyszedł, bez żadnej toalety.

To jednak nie był koniec ich problemów. Michał na kolejne porcje narkotyków potrzebował pieniędzy. Nie miał stałej pracy... więc skąd miał je brać?! Zaczął podbierać rodzicom pieniądze, potem wynosić co cenniejsze rzeczy z domu i sprzedawać je za bezcen paserom. Rodzice szybko to odkryli, skończyło się na kilku awanturach. Kiedy nie miał co



sprzedać z majątku rodziców, zaczął kraść: w sklepach spożywczych, salonach odzieżowych. Przestał mu być obcy świat przestępczy. To koledzy „spod ciemnej gwiazdy” namówili go, by zaczął kraść „na wyrwę”, czyli wyszarpywać kobietom torebki na ulicy. Na szczęście nie był zawodowcem i szybko wpadł w ręce policji. Pierwszy wyrok pozbawienia wolności w zawieszeniu miał być dla niego ostrzeżeniem i szansą. Rodzice zrozumieli, że to ostatni moment, by ratować ich dziecko. Załatwili mu wyjazd do Włoch: trochę do pracy, trochę na terapię. Przy okazji zależało im, by dorosły mężczyzna zmienił miejsce zamieszkania i zerwał ze znajomymi, którzy destrukcyjnie wpływają na jego życie.

★ ★ ★

**W** Italii spędził prawie cztery lata. Spoważniał, zarobił trochę grosza, podszlifował swój angielski. Wydawało się, że jego życie ulegnie całkowitej odmianie. Tym bardziej że znalazł sobie wreszcie kobietę. Była o dziesięć lat starsza, miała dziecko i mieszkała w Jeleniej Górze. To dla niej zmienił miejsce zamieszkania i zamieszkał

**dokończenie na str. 62.**

# Clark Rockefeller

Tomasz BOREJZA

Jeżeli myślicie, że historia Nikodema Dyzmy mogła się wydarzyć jedynie w świecie literackiej wyobraźni, to najwyraźniej nigdy nie słyszeliście o Clarku Rockefellerze. To człowiek, który był Dyzmą doskonałym.



**W** październiku 1995 roku w prowadzonym przez Kwaków kościele w Nantucket, Sandra Boss wyszła za mąż za Clarka Rockefellera. Była to kobieta sukcesu. Była absolwentką Stanford oraz Harvardzkiej Szkoły Biznesu. Pięta się po kolejnych szczeblach kariery w jednej z największych firm konsultingowych świata. Już wtedy było widać, że wkrótce pensję będzie liczyć nie w tysiącach, a w milionach dolarów.

Jej wybrankiem był 33-letni potomek legendarnego roku Rockefellerów. Clark był jego „wzorcowym” przedstawicielem. Jako 14-latek trafił do Yale, które ukończył z wyróżnieniem. Wszystko w nim brzmiało i wyglądało tak, jak można by się spodziewać po kimś należącym do tej obrzydliwie bogatej rodziny. Akcent: typowy dla bostońskich braminów. Ubiór zgodny ze stylem, o którym Amerykanie mówią „preppy”. To moda właściwa dla absolwentów najbardziej elitarnych szkół średnich w kraju – tzw. „preparatory schools” – których rolą jest przede wszystkim przygotowanie do studiów uniwersyteckich na Harvardzie, Yale lub Stanfordzie. Styl „preppy” to pulower zakładany na koszulę, krawat, spodnie khaki, buty bez skarpetek. Czasami sweter zarzucony na ramiona. Całości dopełniają odpowiednie, inteligentne okulary. Clark czuł się w nim tak dobrze, że znajomi mówili o nim: *na pewno wygląda jak Rockefeller*. Pozycję odzwierciedlał zresztą nie tylko wygląd, ale i majątek.

Jeszcze rok wcześniej jego wartość wynosiła mniej więcej 450 milionów dolarów. Wprawdzie tuż przed ślubem stracił te pieniądze w wyniku pozwu sądowego, ale wciąż dysponował kolekcją sztuki, której wartość liczone w setkach milionów amerykańskich dolarów. Sprzedać je mógł jednak dopiero w 2006 roku, bo takie ograniczenie nałożył na niego testament rodziców. Ci bowiem zginęli w wypadku, gdy miał 18 lat i od tamtego czasu musiał radzić sobie sam, a z resztą 140 żyjących potomków Johna D. Rockefellera utrzymywał jedynie luźne stosunki. „Zamrożenie” milionów w obrazach nie było jednak dla młodej pary problemem, bo Sandra Boss zarabiała duże pieniądze. Clark zresztą też wiele opowiadał o pracy, której miał sporo. Jednocześnie zajmował się negocjowaniem obniżki długów w imieniu krajów Trzeciego Świata oraz jako błyskotliwy absolwent wydziału fizyki jądrowej Uniwersytetu Yale pomagał rządowi w programie rakietowym. Oprócz tego opracowywał nowe technologie dla Boeinga. Na pierwszy rzut oka była to idealna para.

Sandra Boss mówiła później: *byłam zachwycona tym, że Rockefeller chce mnie bliżej poznać i związać się ze mną*. Na krzysztalowym obrazku była jednak ogromna, choć doskonale ukryta rysa. Clark Rockefeller nie był Clarkiem Rockefellerem. W rzeczywistości nazywał się Christian Gerhartsreiter i pochodził z niemieckiego Bergen. Wychowywał się w skromnej rodzinie, którą postanowił porzucić dla życia w USA. Dorastał czytając amerykańskie książki – szczególnie ważną pozycją był dla niego „Wielki Gatsby”, który jest w USA mniej więcej odpowiednikiem naszego drogiego pana Nikodema. Oglądając

amerykańskie filmy wierzył więc, że w Stanach każdy może zostać kim tylko chce. Postanowił więc być „kims” i zrobił to wiele razy.

Christian Gerhartsreiter nie od razu został dziedzicem fortuny Rockefellerów. Wcześniej był: Chrisem Gerhartem, Christopherem Kennethem Gerhartem, Christopherem Chichesterem, Christopherem Mountbattenem Chichesterem, Christopherem Chichesterem – 13. baronetem Mountbatten\*, który był blisko spokrewniony z brytyjską królową Elżbietą, Christopherem Crowem, Christopherem Crowem Mountbattenem, którego numer ubezpieczenia społecznego pożyczył od syna Sama, seryjnego mordercy z Nowego Jorku, by dopiero po 14 latach spędzonych w USA wejść na nowojorskie, a później bostońskie salony, jako James Frederick Mills Clark Rockefeller.

### 13. Baronet Chichester

**J**uż jako dziecko Christian lubił nietypowe zabawy. Cieszyło go wcielanie się w role, które doprowadził do perfekcji. Lubił „wkręcać” urzędników, co robił z wielką wprawą. Jednego dnia zadzwonił na przykład do urzędu w Monachium, by zarejestrować – jako zagraniczny turysta – dwa samochody marki Rolls Royce i zrobił to.

Do USA trafił w 1978 roku dzięki wystawionej na sześć miesięcy wizie turystycznej. Wiedział jednak, że żeby zostać tam dłużej, będzie musiał się postarać o inne uzasadnienie pobytu. Najpierw trafił do Berlina w Connecticut. Przyjął go tam para Amerykanów niemieckiego pochodzenia, którą wcześniej poznał w kraju, gdy ci zwiedzali to, co pozostało po nazistach. Planując przedłużyć pobyt, zaczął od szkoły. Zapisał się do ostatniej klasy miejscowego liceum, choć wcześniej jedno już ukończył – w Niemczech. O tym jednak nie mówił nikomu, a zamiast tego zaczął chłonąć Stany Zjednoczone. Pracował nad akcentem. Nad swoim wyglądem. Wreszcie nad pomysłem na to, co może w USA robić i jak zostać tam na stałe.

Na początek zmienił nazwisko. Najpierw został Chrisem Gerhartem, ale to wydało mu się zbyt plebejskie, więc nieco je rozwinął. Na studia, te pozwoliły mu przedłużyć pobyt o trzy lata, poszedł już jako Christopher Kenneth Gerhart. Do otrzymania zielonej karty potrzebował jednak czegoś więcej niż nazwiska i studiów. Potrzebował żony. Rozejrzał się więc wśród znajomych studentek, ale żadna nie paliła się do zamążpójścia. Znalazł za to taką, która miała starszą siostrę gotową pomóc imigrantowi z Niemiec. Ten bowiem wziął ją „na litość” i opowiedział historię o tym, że ślub pozwoli mu uciec przed wojskiem. A powrót do Niemiec oznacza, że czeka go walka na pierwszej linii zimnowojennego frontu i pewna śmierć. Na to Amy Janine Jersild, bo tak nazywała się jego pierwsza żona, nie mogła pozwolić. Tym bardziej że obiecał za pomoc zapłacić. Zgodziła się wyświadczyć mu przysługę i zapewnić zieloną kartę. Wzięli ślub, a zaraz po nim Gerhart wyparował.

W jego miejsce pojawił się Christopher Chichester. Nazwisko pożyczyl od ulubionej nauczycielki z ogólniaka, a spodobało mu się ono dlatego, że brzmiało bardzo „brytyjsko”, a do tego takie samo nosił sir Francis Chichester – żeglarz, który tytuł szlachecki zdobył dzięki temu, że jako pierwszy człowiek samodzielnie, w dziewięć miesięcy i jeden dzień, opłynął świat. Wyposażony w nowe nazwisko wybrał też miejsce zamieszkania. Początkowo myślał o Los Angeles, jednak tam – pomyślał – każdy jest aktorem i każdy potrafi odgrywać jakieś role. Wiele na tym nie zyska. Jednocześnie zawsze chciał być, *blisko prawdziwych ludzi, a prawdziwi byli dla niego tylko ludzie bogaci*. Wybrał więc miejsce, gdzie aktorstwa się nie spodziewano, a ludzie byli „prawdziwi” – San Marino leżące w okolicy stolicy stanu Kalifornia.

★ ★ ★

**M**ające niewiele ponad 10 tys. mieszkańców miasteczko jest wyjątkowe przede wszystkim ze względu na ceny. Gdy chodzi o nieruchomości jest to 63 najdroższa miejscowość w USA i trzecie najdroższe hrabstwo w Kalifornii. Obecnie nie da się tam kupić domu za mniej niż 1 mln dolarów, a w latach 80., gdy trafił tam Chichester, było zamieszkane przede wszystkim przez wyższą klasę średnią, a więc głównie wziętych prawników i lekarzy, oraz posiadaczy tzw. „starych” pieniędzy, czyli fortun odziedziczonych, a nie zarobionych. *Gros z nich stanowiły poważne, subtelne i znudzone matrony*. To dla nich było przygotowane wcielenie i przedstawienie Gerharta.

Christopher Chichester, 13. Baronet – jak głosiła jego wizytówka – zjawił się w San Marino około roku 1982. Zaczął od położonego w najlepszej okolicy miasteczka kościoła episkopalnego, gdzie spotykała się cała śmietanka starszych, bardziej konserwatywnych i bogatszych mieszkańców miasta. Wszedł tam jak do siebie i został przywitany jak u siebie. Zwłaszcza gdy starsi państwo dowiedzieli się, z kim mają do czynienia i że nowy mieszkaniec ich miasteczka to bliski krewny znanego żeglarza. A do tego człowiek bliski brytyjskiej rodzinie królewskiej, z którą łączyły go rodzinne więzi, np. z lordem Mountbattenem – prawnikiem królowej Wiktorii oraz byłym wicekrólem Indii.

Chicheстера przyjęto do wspólnoty, w której – jak obrazowo opisał to miejscowy fryzjer – *żył z pań*. Był czarujący. Obdarzony nienagannymi manierami. Chętnie przyjmowano go w domach, zapraszano na rauty, do klubów i do restauracji. Żył jak członek rodziny królewskiej, do której wszak należał. To, że po swoje pieniądze nie sięgał nigdy, tłumaczono doskonałym brytyjskim wychowaniem oraz tym, że taki człowiek nie może myśleć o rzeczach tak przyziemnych jak rachunki w knajpach i potwierdza to tylko jego klasę. Bogate i znudzone kobiety chętnie go sponsorowały. Nie zwracano nawet uwagi na to, gdzie mieszkał Chichester, a ten wynajął domek gościnny stojący w ogródku domu niejakiej Didi Sohus. Cierpiącej na Alzheimera alkoholiczki, która

niewiele później miała zostawić po sobie solidny spadek. Normalnie dostałby go jej syn. Jednak nie na darmo o Chichesterze mówiono, że był człowiekiem, który *potrafił przekonać, że w sierpniu spadnie śnieg*.

## Didi Sohus wydziedzicza syna

**W**czasie gdy krewny lorda Mountbattena wynajmował obskórny domek gościnny na tyłach domu w najgorszej dzielnicy San Marino, do matki na powrót sprowadził się syn Johnny wraz z nową żoną Lindą. Pod dachem szybko zaczęło robić się ciasno, bo Didi nie dawała młodej parze ani odrobiny prywatności. Nie pomagało i to, że nie wylewała za kołnierz. Stosunki robiły się coraz gorsze, ale młodzi nie mieli pieniędzy, żeby się wyprowadzić. Potrzebowali pracy, a z tą były problemy. Z pomocą przyszedł Chichester, który wykorzystwał swoje kontakty i znalazł dla nich zatrudnienie. Pewnego dnia para przyszła do matki i powiedziała, że wyjeżdża z miasta z... tajną misją zleconą przez rząd, a kontaktować będą się z nią jedynie przez specjalnego posłannika, którym był właśnie Chichester. Następnego dnia oboje zniknęli i nikt ich nie widział przez kolejne 10 lat, aż nowi właściciele domu zamarzyli o budowie basenu. W jej trakcie robotnicy trafili na zakopane w ogródku zwłoki Johna Sohusa. Podejrzanie padło na Chicheстера, który jednak od dawna nie mieszkał już w San Marino. Rozpoczęte przez policję poszukiwania człowieka o takim nazwisku nie przyniosły efektu i sprawa trafiła do archiwum bez nadziei na rozwiązanie. Chichester wyjechał z San Marino dziewięć lat wcześniej. W 1985 roku i po trzech latach mieszkania z Didi. Przed wyjazdem zadbał o to, by pozostało mu z tego coś więcej niż tylko wspomnienia.

Przeprowadził misterny plan, w którym zaczął od usunięcia rodziny, która mogła dziedziczyć. Johnowi i Lindzie wmówił, że ma dla nich pracę i przekonał, by powiedzieli wszystkim znajomym, że znikają na dłuższy czas. Zaraz po tym zabił oboje, a starą kobietę przekonał, że została opuszczona przez syna. Wtedy skłonił rozżaloną staruszkę, by wydziedziczyła Johna. Następnym krokiem było sprzedanie przez panią Sohus domu i namówienie jej, by odkupiła, za 40 tys. USD, przyczepę samochodową od ludzi, z którymi Christopher wszedł w układ. Ci, będąc jej sąsiadami, mieli namówić ją, by swój majątek przepisała na nich, a po jej śmierci mieli podzielić się z Chichesterem pół na pół. Tak też się stało. Kiedy oszust przyjechał po pieniądze, nie był już 13. baronetem. Nazywał się już wtedy bowiem...

## Christopher Crowe Mountbatten

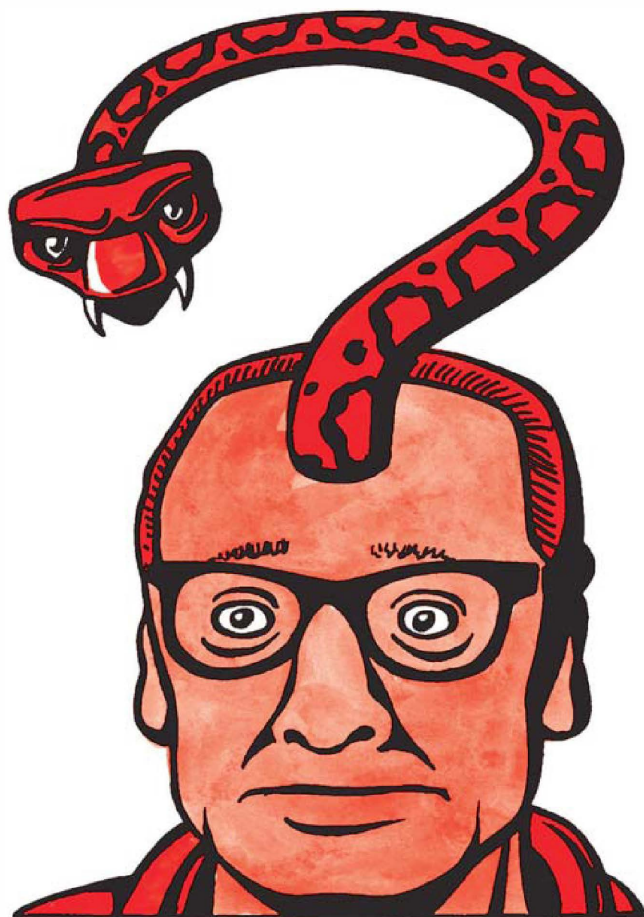
**W**połowie lat 80. 25-letni mężczyzna przeniósł się w okolice Nowego Jorku. Dokładnie do Greenwich w Connecticut, które na liście najlepszych miejsc do życia w USA zajmuje pierwsze miejsce i jest jednym z najbogatszych miast w całym kraju. Liczy przy tym zaledwie 60 tys. mieszkańców.

Tam wszystko zaczęło się w znany już nam sposób, czyli podobnie jak w San Marino. Oszust, czyli obecnie Crowe, zaczął od kościoła znajdującego się w najlepszej okolicy i skupiającego lokalną śmietankę. Dzięki temu poznał zamożnych ludzi, a ci widząc w nim absolwenta Yale i człowieka obdarzonego potężnymi koneksjami rodzinnymi (nie zrezygnował z podpierania się Mountbattenem), również uznali go za swojego.

Jeden z bogatych, innych tam zresztą nie ma, mieszkańców Greenwich wynajął mu po kosztach apartament w mieście i mężczyzna zakotwiczył w nim na kolejne trzy lata. Tutaj coś się jednak zmieniło i nie żył „z pań”. Znalazł inną metodę zarabiania pieniędzy. Początkowo znalazł zatrudnienie w firmie brokerskiej, w której pełnił rolę technika komputerowego. Nie było to ani stanowisko wysokie, ani popłatne, ale Crowe znalazł metodę, by parę dolarów na nim zarobić. Mając dostęp do rachunków klientów przelewał z nich kwoty tak małe, że nie wzbudzały podejrzeń – często były to ułamki centów – ale zebrane w całość pozwalały odczuć spory zastrzyk gotówki. Nie popracował tam długo, bo nie było to zajęcie właściwe dla Mountbattena. Nosił się zbyt wysoko i w końcu wyrzucono go z pracy. Nie pomogło i to, że kiedy ktoś w końcu sprawdził numer ubezpieczenia, który podał, to ten wskazał na Davida Berkowitza – lepiej znanego jako seryjnego mordercę „Syn Sama”. Ładowanie miał jednak miękkie, bo doskonale wykrystał doświadczenie zdobyte w branży finansowej.

Zaledwie kilka miesięcy po zwolnieniu, zjawił się u niego jeden ze znajomych z Greenwich. Jedną z japońskich korporacji finansowych otwierała oddział w Nowym Jorku i szukała ludzi. Przede wszystkim zdolnych finansistów. W tym i dyrektora działu obligacji korporacyjnych. Jego znajomy miał być prezesem i pomyślał, że człowiek z takimi koneksjami jak Mountbatten bardzo mu się przyda. Tym bardziej że miał przecież odpowiednie wykształcenie zdobyte w Yale i doświadczenie w finansach, bo chwalił się tym, że pracował w firmie brokerskiej, ale zapomniał dodać, że dbał w niej o to, by nie zawieszały się komputery. Oferta opiewała na dyrektorskie stanowisko, a przypisana do niego pensja była sześciocyfrowa. Przez następne dwa lata Crowe korzystał z uprzywileżności Japończyków. Ci słyną z tego, że ludzie nie zwalniają. W japońskich korporacjach pracuje się od przyjęcia do emerytury lub śmierci, której przyczyną dość często jest przepracowanie (to jedyny kraj na świecie, który ma dla tego zjawiska specjalną nazwę: *karoshi*). Szybko okazało się, że facet kompletnie nie zna się na swojej pracy i przez cały ten czas nie zarobił dla firmy nic. Pensje brał za to regularnie.

Wreszcie odstąpiono od tradycji i Crowe wylądował na bruku. Wtedy zaczęły się kłopoty. Potrzebował pieniędzy i postanowił sprzedać samochód, którym przyjechał z San Marino do Greenwich. Chętnego znalazł szybko, ale kiedy nabywca postanowił sprawdzić dane auta na policji i wpisać je do bazy danych, to ta pokazała, że pojazd należy do zaginionego Johna Sohusa, a policja w San Marino szuka pojazdu. Zawiadomiono tamtejszą komendę, która zain-



teresowała się sprawą i postanowiła porozmawiać z Christopherem Crowem. To spaliłoby całe przedstawienie, więc Crowe zniknął. Ostatni raz widziano go w grudniu 1988 roku.

## Narodziny Rockefellera

**K**olejne cztery lata ukrywał się w Nowym Jorku, gdzie mieszkał z kobietą, która najpierw była jego narzeczoną, a następnie współniczką w podejrzanych interesach. Przekonał ją, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo, a na jego głowę czyha płatny morderca. Ta, jak cała rzesza innych ludzi, uwierzyła mu we wszystko i pomogła zniknąć na cały ten czas. Sam Crowe zmienił wtedy wszystko: kolor włosów, fryzurę, ubrania. Nawet akcent. Zarabiał na drobnych komputerowych przekrętach i jednocześnie szykował dla siebie kolejne wcielenie. Tym razem uznał, że jest gotowy, by zagrać *va banque* i zostać członkiem jednej z najbardziej szanowanych i znanych amerykańskich rodzin: Rockefellerów.

Gruntownie przestudiował historię i genealogię rodziny. Dobrał odpowiedni strój i zmienił się we wzorcowego „preppy”. Akcent trenował na serialu telewizyjnym pokazującym życie wyższych sfer, a życiową i uczelnianą historię „pożyczył” od jednego z absolwentów Yale, którego znalazł w księdze rocznika 1978. Wypracował sobie kilka ekscentrycznych zachowań, których można było się spodziewać po multimilionerze. Miał nawet majątek. Ten stanowiła



warta wiele milionów kolekcja dzieł sztuki, które były wprawdzie podróbkami, ale słusznie zakładał, że nikt nie podda w wątpliwość autentyczności obrazów znajdujących się w domu samego... Rockefellera. Do nazwiska dobrał imiona: James Frederick Mills Clark. Znajomym kazał mówić do siebie Clark.

Zaczął, jakżeby inaczej, od wizyty w jednym z najstarszych nowojorskich kościołów, który przyciągał całą miejską śmietankę. Tam przyjęto go tak jak zwykle – jak swojego. Później zadbał jeszcze o to, by miał kto wprowadzać go do towarzystwa i zaprzyjaźnił się z jedną z zamożnych mieszkanek Manhattanu, którą poznał „przypadkiem” podczas spaceru z psem. Tak się szczęśliwie złożyło, że ta miała córkę, która właśnie w tym roku debiutowała na salonach. Clark zaofiarował, że jej w tym pomoże. Matka zgodziła się z radością, bo kto nie chciałby być prezentowany przez samego Rockefellera? Dla Clarka była to zaś znakomita okazja żeby być, bo – o czym kobiety nie wiedziały – debiutantka była jego przepustką.

Podczas kolejnych balów i spotkań, na które go zapraszano, zdobył szereg wartościowych znajomości. Ludzi przyciągała magia nazwiska, a Clark dbał, by być bardziej rockefellerowski niż sami Rockefellerowie. Rozdawał książki z podpisem „dziadka” – Johna D. Zaprzyjaźnił się z artystami oraz właścicielami galerii, których oczarowywał swoją kolekcją. Tę dbając o odpowiedni poziom ekskentryczności, trzymał w mieszkaniu z ukochanym psem, który regularnie skakał po wartych majątek obrazach. Szybko uczył się nowych rzeczy. Przyjaciele, bo i takich miał, mówili później, że chłonał wszystko jak gąbka. Wystarczyło, by coś raz zobaczył lub usłyszał, i już potrafił to imitować. Tak samo było z tematami rozmów – potrafił mówić o wszystkim i z każdym.

Minęło kilka miesięcy i Clark Rockefeller stał się naturalnym elementem nowojorskiej rzeczywistości. Potrzebował tylko znaleźć sponsora. W „polu widzenia” pojawiła się Sandra Boss – kobieta zamożna, w miarę atrakcyjna, rokująca na duże pieniądze w przyszłości i nieco nieporadna w życiu emocjonalnym. Rockefeller zaczął z nią flirtować, co zresztą bardzo łechtało jej ambicję, bo choć pochodziła z dobrego domu, to jednak nie aż tak dobrego, jak jej adorator. Bez zastrzeżeń przyjęła jego historię: rodziców zabitych w wypadku, pójście do Yale w wieku 14 lat, pracę z krajami Trzeciego Świata. Szybko zaczęli się spotykać, a po dwóch latach wzięli kwakerski ślub. Wyznanie wybrał Clark. Kwakrzy jako jedyni nie wymagali przedstawienia aktu urodzenia. Na uroczystości miała się pojawić pokaźna grupa Rockefellerów, ale wszyscy w ostatniej chwili odwołali swoją obecność. Sandra była tak zafascynowana Clarkiem, że nawet to nie wzbudziło u niej podejrzeń.

### Sandra płaci za wszystko

**P**rzez następne 12 lat Clark żył z pieniędzy Sandry Boss. Tych było coraz więcej, bo kobieta szybko pięła się po szczeblach firmowej kariery. Złośliwi mówią dziś, że bardzo pomagała

jej w tym legenda żony Rockefellera. I mogą mieć trochę racji, bo zaszkodzić jej to z pewnością nie mogło. Wkrótce jej roczne dochody zaczęły być liczone w milionach dolarów, a Clark do woli korzystał ze wspólnego konta. Jego wkładem do małżeńskiego budżetu była kolekcja obrazów, których nie mógł – tak twierdził – sprzedać do 2016 roku. Problemów nie było, bo Boss była zbyt zajęta zarabianiem pieniędzy, by sprawdzać na co jej mąż je wydaje. A ten zajmował się w tym czasie wyłącznie odgrywaniem roli Rockefellera. Musiał być w odpowiednich miejscach oraz firmować nazwiskiem różnorodne wydarzenia. Zajmował się też licznymi kochankami, które bardzo chętnie zawierały znajomość z członkiem bogatego rodu. Tym bardziej że za kolacje płacił kartą kredytową żony.

Małżeństwo Sandry i Clarka przypominało zjazd po równi pochyłej. Zaczęło się w miarę przyzwoicie, ale z czasem psychopatyczne cechy Rockefellera coraz częściej przebiły się na wierzch. Kobieta została poddana całkowitej kontroli. Po czasie tłumaczyła, że nie chciała odejść, bo z domu rodzinnego, który też do najszcześniejszych nie należał, wyniosła, że małżeństwo trzeba ratować za wszelką cenę. I próbowała to robić przez kolejne pięć lat. Jednak z miesiąca na miesiąc było między nimi coraz gorzej. Sandra uciekła w pracę i latała między Nowym Jorkiem, Bostonem i Londynem, a Clark kupił za jej pieniądze dom w Cornish (to kolejne miasteczko przyjmujące tylko bogatych Amerykanów, gdzie oczywiście przyjęto go jak swojego). Faktyczna separacja była mu na rękę, bo zyskał dzięki temu dużą swobodę w wydawaniu pieniędzy Boss. To on dysponował rodzinnymi kartami kredytowymi i książeczkami czekowymi. Wykorzystał je, między innymi, do tego, by pakiet rodzinnych nieruchomości powiększyć o zabytkowy kościół.

Sandra potrzebowała pięciu lat, by dojrzeć do myśli o rozwodzie. Gdy powiedziała o tym Clarkowi, ten zmienił się nie do poznania. Na powrót zrobił się miły i czarujący. Powiedział, że znalazł nowe zajęcie w finansach. Na pytanie, czy będą z tego pieniądze, odpowiedział tylko: – *Rockefellerowie nie rozmawiają o wypłacie*. Znajomym opowiadał w tym czasie, że za 1 mld dolarów sprzedał patent silnika Boeingowi, a Sandra przynosi do domu tylko „drobne”. Przemiana była chwilowa. Potrzebował jej, by zaciągnąć żonę kilka razy do łóżka. Przed zbliżeniem upewniając się z pomocą szpilki, że prezerwatywa zawiedzie. Efektem tych zabiegów była córka – Reigh Rockefeller, która przyszła na świat w 2000 roku i na krótką chwilę połączyła małżonków. Potem Sandra na powrót zajęła się pracą. A Clark córkę i upłynnianiem milionowych dochodów żony. To starczyło na kolejne pięć lat związku.

★ ★ ★

**K**olejny kryzys przyszedł w 2005 roku, gdy Sandra zorientowała się, że Clark separuje ją od córki i dba o to, by dziewczynka była przywiązana jedynie do niego. Tym razem podeszła do

sprawy inaczej. Zaczęła od zatrudnienia prawnika, a ten znalazł jej prywatnego detektywa. Był nim Frank Rudewicz, fachowiec z 20-letnim doświadczeniem w policji. Na początku miał jedno zadanie – ustalić, ile jej pieniędzy Rockefeller ukradł i ile mu ich jeszcze zostało.

Gdy detektyw podjął próbę znalezienia rachunków bankowych jej męża i jego przeszłości, to kolejne bazy pokazywały, że taki człowiek nie istnieje, lub nie istniał przed 1994 rokiem. Krótkie śledztwo pozwoliło udowodnić, że Clark Rockefeller jest oszustem. Sandra bojąc się o dziecko, nie zdecydowała się tego ujawnić i poszła z mężem na ugodę. Dostał 800 tys. dolarów za zrzeczenie się praw do wychowania Reigh. Wszystko co miało mu przysługiwać, to nadzorowane przez sąd spotkania kilka razy w roku. Bell zaplanowała wyprowadzkę do Londynu, by oceanem odgrodzić męża od dziecka.

Rockefeller w trakcie rozwodu opowiadał kolesiom, że Sandra puszcza go z torbami i zostaną mu najwyżej dwa miliony. – *A co to są dziś dwa miliony?* – pytał retorycznie i planował, jak wykorzystać pieniądze z ugody i rozpocząć życie od nowa. Wkrótce stworzył nową tożsamość – Chipa Smitha, absolwenta Harvardu i kapitana żeglugi dalekomorskiej, który postanowił zamieszkać w Baltimore. Reigh zdecydował, że córkę uprowadzi ze spotkania z kuratorem sądowym. Zrobił to na początku 2008 roku. Urzędnika poturbował, a dziecko wywiózł do nowego domu.

Policja zaczęła działać natychmiast, a po przestuchaniu Sandry, nieudanej próbie ustalenia danych ojca i telefonie do rzecznika Rockefellerów, który powiedział, że wśród 170 potomków Johna D. nie ma żadnego Clarka, sprawę oddała FBI. Ogłoszono tzw. bursztynowy alarm, który z Clarka Rockefellera uczynił najbardziej poszukiwanego człowieka w USA. Jego twarz pokazały wszystkie telewizje w kraju. Rozpoznała go agentka nieruchomości, od której Chip Smith kupił dom. Zatrzymano go następnego dnia. Śledztwo ujawniło, że przez 12 lat małżeństwa przepuścił co najmniej 6 milionów dolarów Sandry Boss. Wkrótce stanął przed sądem pod zarzutem porwania.

Pytanie, które wszyscy sobie zadawali, brzmiało: *Jak to możliwe, że przez 15 lat związku i 12 lat małżeństwa inteligentna kobieta nie zorientowała się, że nie żyje z Rockefellerem, tylko z oszustem?* Sama Sandra Boss odpowiedziała na nie, gdy zeznawała przed sądem. Do prokuratora mówiła tak: *Myszę, że wciąż próbuje pan łączyć inteligencję biznesową i osobistą, emocjonalną. Pochodzę z miejsca, gdzie ludzie nie oszukują – to bardzo uczciwe miejsce. Przez całe moje życie nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogę żyć z kimś, kto kłamie w tak podstawowych sprawach.*

★ ★ ★

**O**brońca Rockefellera przekonywał, że jego klient jest chory psychicznie. Powołał ekspertów, którzy dowodzili, że tak rzeczywiście jest.



Prokurator pytał ich za każdym razem, czy w wykazie chorób jest taka, którą opisuje słowo „kłamstwo”, a na koniec tak przemawiał do ławy przysięgłych: – *To nie jest przypadek szaleństwa. To jest sprawa o manipulację. Nie pozwólcie mu uciec. Nie pozwólcie, by ta obrona była ostatecznym oszustwem, które pozwoli mu uciec przed konsekwencjami. Zobaczcie prawdę, która przed wami leży. Przysięgli posłuchali prokuratora i orzekli: winny. Sąd skazał go na trzy do czterech lat więzienia. Jednak nie był to koniec problemów Clarka Rockefellera.*

Twarczą, którą pokazano w telewizji, rozpoznano nie tylko w Baltimore. Także w San Marino, gdzie był poszukiwany w związku z zabójstwem, którego ofiarą padł John Sohus. Kiedy zorientowano się, że Clark Rockefeller vel Christian Gerhartsreiter to ich Christopher Chichester 13. Baronet, upomniał się o niego stan Kalifornia. Wkrótce postawiono go przed sądem pod zarzutem morderstwa. Rockefeller bronił się, twierdząc, że to Linda Ława nie dała wiary seryjnemu kłamcy.

W kwietniu 2013 roku skazano go na dożywocie.

Historia amerykańskiego Dyzmy stała się inspiracją świetnej książki Marka Seala, której polski tytuł to „Dziwny przypadek Rockefellera”. Niedługo na jej podstawie ma zostać nakręcony hollywoodzki film. Do tej pory powstało już kilka dokumentów oraz jeden obraz telewizyjny. Ten ostatni został zatytułowany: „Kim jest Clark Rockefeller?”. ■

**Tomasz Borejza**

\* – Mountbatten Filip, książę Edynburga, mąż królowej Elżbiety II.

# Z kraju i ze świata

## Seksafera

W połowie lutego br. w Puławach (woj. lubelskie) zrobiło się głośno o wychowawczyni Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego. Kobieta, mająca pod opieką niepełnosprawne dzieci i młodzież, flirtowała na Skypie ze swoim partnerem oraz obnażała się przed kamerą internetową. Wszystko miało się dziać w pokoju nauczycielskim, podczas jednego z nocnych dyżurów kobiety. Sprawa zapewne nigdy nie wyszłaby na jaw, gdyby nie fakt, że zdjęcia półnagiej kobiety trafiły na jeden z portali społecznościowych. Za wszystkim stał były już partner nauczycielki. Mężczyzna zrobił to prawdopodobnie z zemsty, ponieważ „wybranka jego serca” postanowiła zerwać z nim znajomość. „Gorąca” pani pedagog nie pracuje już w szkole, przeszła na emeryturę (z racji wysługi lat). Nie oznacza to jednak, że uniknie kary. Czeka ją komisja dyscyplinarna, która ostatecznie zadecyduje o wymiarze kary. W najgorszym wypadku kobieta już nigdy nie będzie mogła pracować z dziećmi. W najlepszym – otrzyma naganę z ostrzeżeniem. Mściwy kochanek nie zostanie też oszczędzony, jeśli policja udowodni, że to faktycznie on zamieścił zdjęcia w internecie, może trafić za kratki nawet na trzy lata. ■

## Sikać każdy może...

Właściciel mieszkania w Dusseldorfie (Niemcy) został pozwany przez najemcę mieszkania, ponieważ po wyprowadzeniu nie otrzymał wpłaconej przy podpisywaniu umowy kaucji (3 tysiące euro). Sprawa trafiła do sądu – wynajmujący twierdził, że marmurowa podłoga w łazience została „zrujnowana”, ponieważ korzystający z niej mężczyzna sikał na stojąco! Sędzia przychylił się do wniosku najemcy: mężczyzna powinien mieć wolność w zakresie pozycji, w jakiej oddaje mocz i nie powinien być za to pociągnięty do odpowiedzialności, nawet gdy z tego tytułu powstają „szkody uboczne”. Zaznaczył jednak, że osobnik korzystający w ten sposób z toalety, musi się liczyć z protestami ze strony współlokatorów, zwłaszcza jeśli są nimi kobiety. W Niemczech kwestia tego, w jaki sposób mężczyźni oddają mocz, jest coraz poważniejsza. Okazuje się, że w niektórych miejscach publicznych sikanie na stojąco ma być zabronione! ■

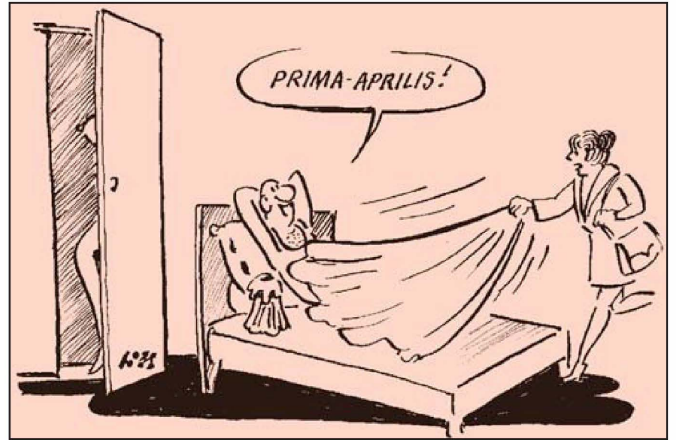
## Śmierć za kable

Do dwóch lat więzienia grozi wrocławianinowi, który podczas libacji alkoholowej zabił psa. Mundurowi otrzymali zawiadomienie, że w jednym z mieszkań prawdopodobnie ktoś znęca się nad zwierzęciem. Kiedy przybyli na miejsce, okazało się, że w lokalu przebywa trzech mężczyzn w stanie mocno wskazującym na spożycie. Natomiast w jednym z pomieszczeń znaleziono zwłoki psa. Zatrzymany do wyjaśnienia 38-letni właściciel mieszkania miał 3 promile alkoholu i dopiero, kiedy wytrzeźwiał, przyznał się do zabicia zwierzęcia. Zeznał, że czworonóg „brutalnie się zachowywał” – ponieważ gryzł kable od komputera, co bardzo go zdenerwowało! ■

## Niespodziewana zamiana

Do nieprawdopodobnego incydentu doszło w Indiach w mieście Rampur. W trakcie uroczystości zaślubin 25-letni pan młody, Jugol Kishore, niespodziewanie dostał





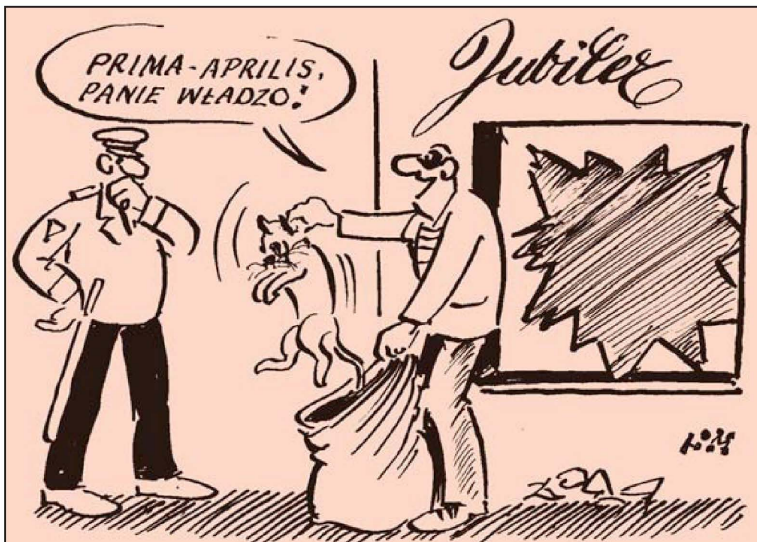
ataku epilepsji, tuż przed narzuceniem wieńca na swą wybrankę. Okazało się, że mężczyzna ukrywał chorobę przed swoją narzeczoną i jej rodziną. Fakt ten bardzo zirytował 23-letnią, niedoszlą pannę młodą. W takiej sytuacji, kobieta postanowiła poślubić kogoś innego. Poprosiła o to jednego z gości weselnych. Zaskoczony mężczyzna przyjął jednak oświadczyzny i błyskawicznie zawarło małżeństwo. Kiedy niedoszły pan młody wyszedł ze szpitala, był zły na swoją narzeczoną Indirę i prosił, aby zmieniła zdanie. Tłumaczył, że przyjaciele wyśmieją go, kiedy wróci do domu bez żony. Kobieta jednak odmówiła. Mężczyzna nie spodziewał się takiego obrotu sytuacji, dlatego postanowił się zemścić i razem ze swoją rodziną złożył na kobietę skargę na policji. Przedstawiciel

lokalnej policji zignorował zażalenie, tłumacząc, że nie może zmusić kobiety do zaślubin, bo ta jest już mężatką. ■

## Kara za przytulanie

Podczas koncertu w filharmonii w Liverpoolu 72-letnia Kethleen Danby została poproszona, aby udała się do holu, ponieważ jacyś ludzie chcą z nią porozmawiać. Okazało się, że czekało na nią dwóch policjantów, którzy zatrzymali kobietę na wniosek pracowników służb socjalnych (na podstawie zdjęć zrobionych kilka miesięcy wcześniej). Na fotografiach widać, jak starsza pani przytula 19-letnią wnuczkę... Wydawałoby się, że to nie „grzech”, ale w 2007 roku, kiedy dziecko miało 11 lat, było pod obserwacją pracowników socjalnych. Ojciec dziewczynki

został oskarżony o molestowanie dzieci i aresztowany, a nastolatce zabroniono także kontaktować się z babcią, dlatego przez rok mieszkała w przyszkolnym internacie. Mężczyzna, mimo zakazu, na przepustkach spotykał się z córką, za co został dodatkowo ukarany. Tymczasem dziecko 170 razy uciekało z internatu, bo chciało mieć kontakt z babcią, a starsza pani mogła mieć kontakt z wnuczką tylko raz w tygodniu i to pod czujnym okiem pracowników socjalnych. Zakaz zniesiono, kiedy dziewczyna osiągnęła pełnoletniość, jednak ich relacje nadal były pod silnym nadzorem pracowników służb socjalnych. Pewnego razu zrobiono zdjęcie, jak kobiety się przytulają. Sędzia stwierdził, że doszło do naruszenia prawa i wydał nakaz aresztowania i skazał babcię na 3 miesiące więzienia. ■



# EKSPERYMENTY

**Konrad SZYMALAK**

Profesor Karl-Max Schmidt był przez swoich sąsiadów podejrzewany o prawie wszystko. Od bycia szpiegiem CIA po ginekologa, prowadzącego nielegalny gabinet. Jego dom położony na górskim stoku w saksońskich Rudawach był niedostępny dla żadnych gości. Sąsiedzi, którzy podejmowali próby wejścia do

środka, byli mało sympatycznie splawiani w progę przez gospodarza. To było przyczyną dziesiątek domysłów i oskarżeń wobec profesora Akademii Medycznej w Dreźnie. Dopiero jego przejście na emeryturę i upadek muru berlińskiego, stworzyły sprzyjające warunki do odkrycia tajemnic psychopaty z górskiej osady.



**M**atka Schmidta – Martha zginęła w trakcie przechodzenia Armii Czerwonej przez Saksonię w 1945 roku, a jego ojciec Rudolf – oficer Wehrmachtu – został wzięty do niewoli i stracony przez Sowieców. Los ich dwójki dzieci Marii i Alberta nie był znany, natomiast ślad po Karlu-Maksie urywał się w 1944 roku, kiedy to był adiunktem na Akademii Medycznej w Dreźnie. Odnalazł się 10 lat po wojnie, wiosną 1956 roku wrócił do Berlina z USA – gdzie rzekomo pracował jako naukowiec. Z Berlina udał się w swoje rodzinne strony w okolice Königstein w Saskiej Szwajcarii (region turystyczny w południowych Niemczech – przyp. aut.). Pojawiając się po tak długiej nieobecności z walizką dolarów, nie mógł nie wzbudzić zainteresowania okolicznych mieszkańców. Jego rodzinny dom zajmował wuj Erich, który był urzędnikiem władz komunistycznych. Zdecydował się jednak oddać posesję spadkobiercy i przeprowadził się do Drezna. Sąsiedzi Karla-Maksa byli ciekawi opowieści o jego powojennych losach, jednak ten zamknął się w swojej górskiej chacie i stronił od ludzi. Początkowo podejrzewano go o depresję po stracie rodziny, ale kiedy podjął ponownie pracę na akademii w Dreźnie, mieszkańcy przyjęli wersję, że po prostu „dziwaczkał” w Ameryce. Jego sąsiad Wolfgang przez kilkanaście lat dojeżdżał z nim do Drezna codziennie pociągiem, ale nigdy nie udało mu się nawiązać konwersacji z tajemniczym i milczącym naukowcem.

★ ★ ★

**P**rzez długie lata stał się obiektem zainteresowania Stasi, której agenci regularnie obserwowali jego dom i prowadzili nasłuch. Komunistyczne władze jednak nie znalazły dowodów na prowadzenie przez niego działalności o znamionach przestępczych. W 1989 roku prof. Schmidt przeszedł na emeryturę, a kilkanaście miesięcy później nastąpiło zjednoczenie Niemiec. Do Saskiej Szwajcarii zaczęło przybywać coraz więcej turystów z Europy Zachodniej i niestety... zaczęli również ginąć.

Sprawą zajął się Bundeskriminalamt, który stosował dużo skuteczniejsze metody dochodzeniowe niż Stasi. W kwietniu 1991 roku na posterunek policji w Porschdorfie dotarła włoska turystka Gianna P., która twierdziła, iż została porwana przez psychopatycznego lekarza w okolicach twierdzy Königstein. Kobieta po odłączeniu się od swoich przyjaciół, została uderzona w głowę, a następnie nieprzytomna przeniesiona do drewnianej szopy kilka kilometrów od twierdzy. Była w niej przetrzymywana przez około trzy doby, a następnie zamaskowany porywacz przeprowadził ją nocą do podziemi nieznanego domu, w którym znajdował się gabinet lekarski. Tam Gianna P. zaczęła krzyczeć i wrywać się napast-

nikowi, co spowodowało u niego pewnego rodzaju osłabienie. Podejrzewano, że mógł być to nawet zawał serca, dlatego udało się porwanej zbiec i dotrzeć na komisariat policji. Uciekając w panice, nie zapamiętała drogi i nie potrafiła nawet wskazać kierunku, w którym mógł być położony dom napastnika.

Po sprawdzeniu lokalnych szpitali przez policję, nie stwierdzono jednak pojawienia się pacjenta o podobnych dolegliwościach, jakich doznał porywacz. Główne podejrzenie padło jednak na profesora Schmidta. Został zatrzymany do wyjaśnienia, ale pomimo braku alibi, nie znaleziono dowodów ani przesłanek mogących wskazywać na jego udział w uprowadzeniu. Brak alibi nie był niczym szczególnym w jego przypadku, gdyż był samotnikiem, więc kto mógłby je potwierdzić? Lokalna policja wzięła go pod specjalną obserwację. Kolejny rok nie przyniósł żadnych podejrzanych incydentów w okolicach Königstein, co z czasem osłabiło zainteresowanie policji Karlem-Maksem. Mieszkańcy rzadko widywali go poza domem. Często siedział na tarasie swojego domu i patrzył w niebo. Nie widywano go w okolicznych sklepach, gdyż po zakupy jeździł do Drezna samochodem.

W styczniu 1992 roku znaleziono na przedmieściach Drezna zwłoki mężczyzny, który zmarł na skutek uduszenia spowodowanego substancją zawierającą strychninę. Nie byłoby jeszcze w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, iż w jego krwi wykryto cały szereg związków chemicznych, które dla przeciętnego człowieka są niedostępne. Policja skierowała swoje postępowanie w kierunku Akademii Medycznej w Dreźnie. Wstępnie założono, że związek z zabójstwem, bądź podaniem takiej ilości toksyn miał jeden ze studentów akademii. Podejrzanych jednak nie ustalono, a najbardziej prawdopodobnym tropem okazał się ponownie Karl-Max Schmidt, który to przez prawie całą swoją karierę naukową zajmował się badaniami barbituranów, a te odkryto właśnie w organizmie ofiary. Oficerowie śledczy podchodzili jednak sceptycznie do podejrzeń w kierunku profesora, gdyż otruty mężczyzna był budowlańcem o dużej tężyznie fizycznej i siedemdziesięciolatkowi trudno byłoby użyć siły w stosunku do niego. Schmidt został przesłuchany, ale oczywiście o zdarzeniu nie miał żadnej wiedzy.

Kolejną ofiarą barbituranów została Patricia V. Turystka z Katalonii, która wraz z narzeczonym wybrała się na zwiedzanie twierdzy Königstein. Jej ciało odnaleziono na brzegu Łaby 16 czerwca 1992 roku. Policja od razu skojarzyła to zdarzenie z działalnością naukową profesora. Jednak jego postelniczy tryb życia utrudniał prokuraturze postawienie jakichkolwiek zarzutów, gdyż żaden sąd na świecie nie skazałby człowieka za zabójstwo tylko na podstawie życia w samotności i braku alibi. Zajmujący się sprawą z ramienia

dreźnieńskiej policji kryminalnej, komisarz Alois Feder był pewny, że udział w obu zabójstwach i porwaniu Włoszki miał profesor. Postanowił osobiście podjąć się obserwacji psychopaty-dziwaka, za jakiego uważali go okoliczni mieszkańcy. Pierwsze co zrobił, to włamał się do jego domu. Tam nie znalazł nic specjalnego oprócz kolekcji motyli. Schmidt posiadał profesjonalny sprzęt entomologiczny, służący do konserwowania rzadkich okazów. Feder założył, iż musiał istnieć jakiś związek pomiędzy motylami a barbituranami. Po konsultacji w Akademii Medycznej w Dreźnie okazało się to ślepym tropem, a komisarz dowiedział się, że Schmidt zawsze pasjonował się motylami. Policjant jednak był pewny swego.

Pomimo obserwacji profesora, kolejną ofiarę odnaleziono w Dreźnie 2 sierpnia 1992 roku. Przyczyną było uduszenie wywołane przyjęciem śmiertelnej dawki strychniny. W organizmie denata wykryto także obecność barbituranów. Zdaniem pracowników akademii wyglądało na to, jakby ktoś podawał ludziom dużą dawkę strychniny i później próbował dopasować na nią antidotum. Zdaniem Federa miało to sens, ale nie w opinii fachowców, gdyż dokładną receptę na odtrucie po strychninie znano już od bardzo dawna. Motywem zabójstw pozostawały zatem dziwne badania. Tylko czy tak znakomity naukowiec, jak profesor Schmidt, zajmowałby się tak nedorzecznymi eksperymentami?

★ ★ ★

Późną jesienią 1992 roku policji udało się namierzyć drewnianą szopę, w której była przetrzymywana Gianna P. Jej odnalezienie nie było łatwe ze względu na niedostępność terenu i ukrycie jej pod gałęziami. Podejrzane miejsce wskazał mieszkaniec miasta Bad Schandau, który przypadkowo natrafił na budynek i skojarzył go ze sprawą porwania włoskiej turystki. Po oględzinach okazało się, że w szopie ktoś suszył motyle. Dla komisarza Federa nie było wątpliwości, iż to profesor Schmidt korzystał z tego przybytku. W dalszym ciągu nie posiadał jednak dowodów, iż to on więził Włoszkę w szopie. Sama poszkodowana nie potrafiła rozpoznać napastnika na zdjęciu. Przez zimę 1992/93 nie wydarzyło się nic, co można było

powiązać z psychopatyczną działalnością sprawcy otruc. Komisarz był jednak zdeterminowany, by udowodnić winę profesorowi.

Feder rozpoczął przeglądanie wyników badań i przebiegu osiągnięć naukowych profesora na Akademii Medycznej w Dreźnie. Oprócz jego niejasnych losów sprzed 1956 roku, nie znalazł w dokumentacji uniwersyteckiej nic budzącego podejrzenia. Niepokoił go fakt o braku informacji na temat jego pracy w latach 1942-1944, czyli czasów nazizmu w Niemczech. Z aktualnych wówczas pracowników akademii nie było nikogo, kto pamiętał profesora z tamtych lat. Komisarz postanowił poprosić wśród emerytowanych lekarzy, którzy studiowali w Dreźnie w czasie wojny.

Był to pracochłonny proces, gdyż absolwenci porożędzali się po całych Niemczech. Jednak ku zaskoczeniu Federa, nikt ze studentów nie pamiętał Karla-Maksa, a przecież w tamtych latach wydział medycyny nie skupiał aż tak wielu studentów, jak miało to miejsce w późniejszych latach. Komisarz zaczął już wątpić, czy faktycznie Schmidt studiował na tej uczelni w czasach drugiej wojny, gdy emerytowana lekarka z Hanoweru Henrietta B., przypomniała sobie o profesorsze. Podczas studiów spotykała się z jego dobrym przyjacielem – Magnusem R. Jednak od tamtego okresu nie miała żadnych wieści o żadnym z nich. Przewidywała, że Magnus R. mógł zginąć, gdyż obiecał się do niej odezwać po wojnie. Feder natrafiając w końcu na ten ślad, postanowił dołożyć wszelkich starań, by odszukać Magnusa R., o ile jeszcze żył.

Wiosną 1993 roku profesor Schmidt zaczął się ponownie pojawiać na tarasie swego domu i znów zaczęli ginąć kolejni ludzie. Tym razem metody zabójstw były dużo bardziej bestialskie niż zatrucie strychniną. 14 marca przy torach kolejowych w powiecie Bad Schandau znaleziono zwłoki mężczyzny, któremu wyrwano półtora metra jelita grubego. Zabieg bez wątpienia nie był wykonany przy użyciu chirurgicznych narzędzi i w sterylnych warunkach. Feder zadał sobie wówczas pytanie, czy te amatorskie metody nie były próbą zmylenia tropu? Przecież profesor był profesjonalistą w dziedzinie chirurgii i nawet w polowych warunkach przeprowadziłby ten zabieg lepiej niż ten wykonany na 42-letniej ofierze.

Specjalista od medycyny sądowej stwierdził, iż denata okaleczono w taki sposób, by jak najbardziej go bolało, a przy tym w jego organizmie wykryto obecność kilku niestosowanych od lat środków przeciwbólowych. Zaniechano ich użycia ze względu na rozwój medycyny i wynalezienie bardziej skutecznych medykamentów na ból. Dodatkowym śladem w sprawie był fakt, iż mężczyznę torturowano bez wątpienia na jakimś łóżku, do którego był przywiązany, na co wskazywały ślady na nadgarstkach. Dla policji było jasne, że do morderstwa nie doszło na ulicy, a ofiara została ogłuszona, uprowadzona i umieszczona

Rozwiązanie zagadki ze str. 64  
pt. "Upiór Luwru"

Bianchard przypominał sobie, że Juliette Morel czasami nosiła perukę zrobioną z blond włosów sięgających jej do ramion (rys. 1). Oczywiście rzęczę jest, że idąc wieczorem spacer, przed położeniem się do łóżka powinna ją zdjąć, tak samo jak naszyjnik z pereł. Tak przynajmniej postępuje 99 procent kobiet. Jednak martwą panią Morel znaleziono w peruce i w naszyjniku (rys. 5).



w miejscu, gdzie dokonano tego bestialskiego czynu. Do złudzenia ten przypadek przypominał zeznania Gianni P., która w podobny sposób została uprowadzona. Denat pochodził z Drezna i zamieszkiwał samotnie, stąd nikt nie złożył zawiadomienia o zaginięciu mężczyzny. Jednak zbrodni dokonano kilkanaście godzin przed odnalezieniem zwłok.

Feder zorganizował środki na obserwację szopy i domu profesora. Czynności te okazały się daremne, gdyż już 22 marca w Dreźnie znaleziono zwłoki 36-letniej Martiny W. Kobiecie „na żywca” usunięto jajniki i macicę. Nie miała szans przeżycia tego zabiegu, wyrzucona na ulicę. Tym razem zbrodniarz popełnił błąd. Podczas sekcji zwłok patolog odnalazł opuszek gumowej rękawiczki w ciele ofiary. Oczywiście, na kawałku gumy znajdował się odcisk palca. Analiza wykazała zgodność z liniami papilarnymi Schmidta. Profesor został natychmiast zatrzymany. Pytany przez prokuratora o motyw swoich zbrodni, milczał. Prawdopodobnie sprawa nie została nigdy rozwiązana, gdyby nie przypadek. Otóż na południe od Drezna patrol policji zatrzymał obywatela Austrii Magnusa R., który poruszał się samochodem z niedozwoloną prędkością. Jeden z policjantów przypomniał sobie o sprawie prowadzonej przez Federa i postanowił profilaktycznie zatrzymać austriackiego doktora medycyny.

Magnus R. był niezwykle zaskoczony całą sytuacją i okazaniem mu profesora Schmidta. Gdy R. usłyszał o oskarżeniach pod adresem profesora i go ujrzał, to stracił przytomność. W szpitalu lekarze nie pozwolili na dalsze przesłuchiwanie pacjenta, ze względu na słaby stan zdrowia i emocjonalny stosunek do sprawy. Magnus R. powiedział jedynie lekarzom, aby przekazali policji, by sprawdzono podziemia domu Schmidta. Tam znajdowała się przed wojną piwnica. Feder przeszukując dom, nie odnalazł żadnych podziemi. Jednak sygnał od R. wydawał mu się wiarygodny,

tym bardziej że obecność podpiwniczenia w domu Schmidta wyjaśniałaby, w jaki sposób pomimo obserwacji domu, niezauważony wydostał się do Drezna, by popełnić kolejną zbrodnię.

★ ★ ★

Oględziny domu wykazały, że w kuchni zastawione dużym piecem, było wejście do piwnicy. Po jego przejściu, policjantom ukazał się przerażający widok. W pomieszczeniu o powierzchni stu metrów kwadratowych znajdowało się laboratorium z salą operacyjną, zestawem narzędzi chirurgicznych oraz pseudomedycznych. Okalały ją regały pełne słoików z formaliną, w których przetrzymywane były ludzkie organy. Nie sposób było oszacować, ile osób zostało zamordowanych przez profesora, bądź przynajmniej okaleczonych. Z piwnicy prowadziły dwa tunele do wyjść w stoku góry. Dokładne przeszukanie podziemi wykazało, że znajdowały się tam projekty i wyniki badań z obozu koncentracyjnego w Dachau, w którym jak później potwierdził Magnus R., Schmidt był stażystą. Po wyzwoleniu obozu został wzięty do niewoli przez Amerykanów, którzy wykorzystali go do niewiadomych celów naukowych w USA. Po dziesięciu latach wrócił, jako psychopata do ojczyzny, choć zarówno R. jak i Henrietta B. wspominali go jako miłego i wrażliwego młodzieńca. To, czego dokonał, nie mieściło im się w głowach. Profesor Schmidt kontynuował w wolnym czasie zbrodnicze eksperymenty medyczne i badania, jakie prowadzono w Dachau w czasie wojny, ale ze względu na wyzwolenie obozu 29 kwietnia 1945 roku nie zostały dokończone. Karl-Max Schmidt zmarł 17 grudnia 1994 roku w więzieniu. Do rozprawy ze względu na jego zły stan zdrowia nigdy nie doszło. Aż do ostatniego dnia nie zdradził, co spotkało go w USA i jaki był motyw jego działania. ■

**Konrad Szymalak**



# W oczekiwaniu

Anna JAGODZIŃSKA

## na śmierć

Jesienią 2013 roku przypadkowa osoba zobaczyła pod skarpą leżącego mężczyznę. Przechodzień podejrzewał, że ów człowiek znalazł się tam, bo zbyt dużo wypił, szedł skrajem przepaści, stracił równowagę i spadł. Brak oznak życia mogło

świadczyć o tym, że amator mocnych trunków głęboko śpi. Ba, może nawet był zadowolony, że wreszcie znajduje się w pozycji horyzontalnej. Niestety okazało się, że ów człowiek nie żyje, a kolejne odkrycia były coraz bardziej szokujące...



**K**amil K. miał zaledwie 23 lata, kiedy został ojcem. Jednak był zadowolony z wczesnego ojcostwa, bo bardzo kochał swoją żonę Kasię i był przekonany, że wspólnie doczekają sędziwej starości. Kiedy na świecie pojawiła się Nikolka, starał się zabezpieczyć byt rodzinie. Niejeden w jego wieku wie, że mocno hulaszczyste, kawalerskie życie. Tymczasem Kamil założył swoją firmę. Zajmował się głównie remontami. Miał wielu kolegów, każdy na czymś się znał, więc jak trzeba było, to szybko znajdował malarza czy hydraulika. Pracownicy wiedzieli, że dobrze i na czas płaci, ale jest wymagający. Dzięki temu na brak klientów nie mógł narzekać.

Nie wiadomo co strzeliło 35-letniemu Kamilowi do głowy, kiedy w połowie 2012 roku zaczął umawiać się na potajemne randki z 25-letnią Patrycją W. Zupełnie stracił dla niej głowę, bardzo szybko przestał kryć się ze swoją nową i młodą miłością. Postanowił wyprowadzić się z domu, w którym zawsze czekała na niego żona i 8-letnia córka. Rodzina i przyjaciele przemawiali mu do rozumu, ale on wiedział swoje. Zamieszkał z kochanką i złożył papiery rozwodowe.

### Nowe życie

**T**uż przed świętami Bożego Narodzenia Kamil wybrał się na zakupy. Brakowało mu jeszcze kilku drobiazgów pod choinkę. Wyjątkowo hojnie chciał obdarować Nikolkę. Miał nadzieję, że wymarzone prezenty wynagrodzą córce fakt, że wyprowadził się z domu. Żona na szczęście pozwoliła, aby dziecko spędziło z nim część świąt. Czuł się szczęśliwy, mimo że miał trochę stresów związanych z pracą (zimną interes zawsze gorzej szedł), jeszcze więcej z sytuacją prywatną (najbliżsi nie pochwalali jego decyzji), ale Patrycja wszystko mu wynagradzała. *Na taką miłość czekałem całe życie* – myślał o kochance. Po południu nagle stracił przytomność. Do nieprzytomnego mężczyzny wezwano karetkę pogotowia. Ratownicy na sygnale zawieźli go do szpitala. Okazało się, że jego stan był bardzo poważny. Młody mężczyzna miał wylew krwi i udar mózgu.

Ze szpitala wypisano go dopiero po dwóch miesiącach. Zapadła decyzja, że zamieszka z rodzicami. Potrzebna mu była stała opieka, samodzielnie nie był w stanie ubrać się, czy nawet zjeść. Ktoś musiał też regularnie wozić go na rehabilitację. Ta trudna sytuacja szybko zweryfikowała siłę uczucia kochanków. Patrycja niezbyt chętnie zajmowała się szaleńczo zakochanym w niej Kamilem. Widywano ją na mieście, jak popijając drinki, doskonale się bawi. W tym czasie pomieszkiwała z Kamilem w jego rodzinnym domu. Kiedy jednak coraz częściej zniknęła na noc, rodzice Kamila postanowili rozmówić się z kobietą i poprosili, aby opuściła gościnne progi. Mężczyzna nie protestował.

– Syn twierdził, że zauroczenie dziewczyną i odejście od żony to był jego największy życiowy

błąd – wyznała później matka Kamila K. – Próbował naprawić to co zepsuł, prosił żonę o wybaczenie, nawet wniósł wniosek o cofnięcie rozwodu.

Zdradzona Katarzyna współczuła mężowi z powodu stanu zdrowia, w jakim się znalazł. Wiedziała, że Nikolka byłaby szczęśliwa, gdyby ukochany tatuś wrócił do domu, ale nie była w stanie zapomnieć zdrady, jakiej mąż się dopuścił. Nie była to łatwa decyzja, ale w danej chwili wydawała jej się najbardziej słuszna. Sprawa rozwodowa odbyła się kilka miesięcy po udarze. Był to kolejny cios dla Kamila, chociaż do końca miał nadzieję, że żona zmieni jednak zdanie.

### Pomocy!

**K**amil bardzo przeżył rozwód, zaczął zapadać się w sobie. Rodzice zaniepokojeni pogarszającym się stanem psychicznym syna, gorąco namawiali go do wizyty u psychologa, czy psychiatry. Próbowali go wspierać jak tylko mogli, ale widzieli, że mężczyźnie potrzebna jest fachowa pomoc.

– Po wielu rozmowach, wreszcie zgodził się na terapię. Odetchnęliśmy z ulgą – opowiada matka Kamila K. – Zaczął przyjmować leki antydepresyjne, ale po kilku tygodniach odstawił je, twierdząc, że nic mu nie pomagają, więc po co ma się nimi truć. Zaczął coraz częściej mówić o śmierci. Uznał, że stracił wszystko i tylko w łeb powinien sobie strzelić. Początkowo nie brałam tego na poważnie, ile to razy sama mówiłam, mając duże stresi, że nie chce mi się żyć. Ale to było takie tam gadanie, które nic nie znaczyło – kobieta wspomina zachowanie syna.

Matka Kamila K. szybko jednak zrozumiała, że mężczyzna nie rzuca słów na wiatr, kiedy pewnego dnia nakryła go, jak próbował się powiesić. To był alarm, który szeroko otworzył oczy całej rodzinie. Oczywiście, nie było pewności, czy Kamil faktycznie dopuściłby się samobójstwa. – Kiedy było po wszystkim, dotarło do mnie, że on od dawna to planował. W internecie zaglądał na fora dla samobójców, czytał, jak pozbawić się życia. Zaczęła kolegów na osiedlu i pytał, czy nie znają kogoś, kto sprzedaje broń – mówi ze łzami w oczach kobieta. – Faktycznie, w chwili kryzysu zwierzył się, że próbował się zabić, że kiedyś pojechał pod wieżowiec i kombinował, jak dostać się na najwyższe piętro – aby skoczyć. Jednak myśl o córce powstrzymała go. Kiedy usłyszałam to, serce mi stanęło, ale moja czujność została uspijona, bo pomyślałam, że dzięki Nikolce nie będzie w stanie zrobić sobie nic złego. Bardzo kochał córkę.

Oczywiście, znaleźli się tacy, którzy bez skrupułów wykorzystali determinację poruszającego się o kulach mężczyzny. Deklarowali, że załatwią mu broń, ale potrzebują zaliczki. Podobno Kamil K. dał się oszukać przynajmniej dwa razy... Raz, na poczet zakupu broni, przekazał „pośrednikowi” 1200 zł.

Cały czas też szukał wśród znajomych kogoś, kto załatwiłby mu truciznę albo receptę na silne leki

nasenne. Nie chciał nic za darmo, zawsze gwarantował, że za taką „przysługę” dobrze zapłaci. Kiedy znajomi nie reagowali na jego rozpaczliwie prośby o załatwienie broni czy leków, zaczął szukać płatnego zabójcy. Zaglądał do lokalnych pubów i rozpytywał. Nikt nie traktował go jednak poważnie, po cichu nawet śmieli się z mężczyzny, że napatrzył się na amerykańskie filmy. Z późniejszych zeznań wynika, że znajomi i rodzina trochę przywykli do gadania Kamila o śmierci. Uznali, że jest to swoisty rodzaj niegroźnej obsesji. Takie gadanie dla gadania.

### „Wybawiciel”

**P**iotr A. nie ignorował słów Kamila K. Mężczyźni znali się od kilku lat. Piotr, starszy o dwa lata od Kamila, swego czasu pracował w jego firmie. Były pracodawca nie bez przyczyny zwrócił się do niego z prośbą. Piotr nie był aniołem, na swoim koncie miał wyrok za znęcanie się nad rodziną, bywał agresywny i nie miał pracy...

– Kamil zaproponował mi 5 tysięcy, abym go uwolnił od życia – zeznał Piotr A. – Znałem gościa i wiedziałem, że jest twardy – a tu przede mną stał taki nieporadny, płaczący, proszący o skrócenie męki.

Ponoć Piotr A. początkowo nie chciał zgodzić się na pomysł Kamila. Kazał mu wypić piwo, wyspać się i dość do siebie, ale mężczyzna miał mu nie dawać spokoju.

– Przez kilka tygodni wydzwaniał do mnie i prosił, abym go zabił – opowiadał Piotr A. – Chciał, aby wyglądało to tak, jakby ktoś go zamordował, wtedy jego córka miała dostać większe pieniądze z ubezpieczenia. Wykupił specjalne polisy. Miał wszystko zaplanowane. Miałem go ogłuszyć kamieniem, trochę poturbować, poderżnąć gardło i zrzucić ze skarp. Miało to wyglądać na napad rabunkowy. W sumie łatwo było napaść na gościa poruszającego się o kulach.

Piotr A. (ponoć po długim wahaniu) zgodził się na wykonanie prośby byłego pracodawcy. Tłumaczył, że mniej ważne dla niego były pieniądze, które mężczyzna mu oferował za „przysługę” (5 tysięcy zł): – Szkoda mi było człowieka, chciałem mu pomóc, to tak jak eutanazja...

**Rozwiązanie krzyżówki z paragrafem**

**POZIOMO:** oszust, kocmołuch, otoczenie, zbył, masa, szkatuła, komendant, donos, kłamera, tło, serce, tyczka, ranny, żubr, zmarlak, karawan, radio, rów, zaczepka, automat, palba.

**PIONOWO:** obchody, zbocze, studnia, kłosz, hiena, bis, Tokio, mat, skąd, konserwa, mustang, nikotyna, anarchia, Turek, deresz, sprawca, amen, kundel, brzoza, trop, lupa, kraj, kwas, rota, Adam.

Ustalonego dnia mężczyźni spotkali się w lokalnej restauracji. Chwilę porozmawiali i opuścili lokal. Osobno. Po kilkunastu minutach spotkali się w okolicy skarpy. Było już ciemno.

– Zapytałem, czy jest pewien, abym to zrobił – zeznał Piotr A. – Przypomniałem mu, że ma przecież córkę, często mówił, że bardzo ją kocha.

Ponoć Kamil potwierdził wcześniejsze ustalenia, wyciągnął w kieszeni obiecane pieniądze i kazał zabierać się za robotę...

★ ★ ★

**P**iotr A. został zatrzymany kilka dni po znalezieniu zwłok Kamila K. (sekcja zwłok wykazała, że był trzeźwy; zmarł z powodu wykrwawienia). Mężczyzna nie był zdziwiony wizytą mundurowych, od razu przyznał się do wszystkiego. Opowiedział o zajściu, pieniądzech jakie otrzymał od Kamila K. i o tym, że następnego dnia po zabicu znajomego, zaczął wydawać gotówkę na sprzęt do domu i ubrania. – *Mężczyzna przyznał, że dopuścił się tego czynu, ale zrobił to wyłącznie na wielokrotne prośby pokrzywdzonego. Twierdził, że zrobił to pod wpływem współczucia i chciał mu pomóc w ten sposób, żeby się już więcej nie męczył. Przyznał także, że ofiara zapłaciła mu 5 tysięcy złotych – mówiła rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej w Ś.*

Początkowo śledztwo było prowadzone pod kontem zabójstwa eutanazyjnego. W polskim prawie eutanazja jest zabroniona, ale w wyjątkowych sytuacjach sąd może złagodzić karę albo od niej odstąpić. Jednak w toku śledztwa prokuratura zmieniała zdanie. Uznano, że Piotr A. nie działał ze współczucia (co jest podstawową motywacją przy eutanazji), a dla pieniędzy. Z tego powodu postawiono mężczyźnie zarzut zabójstwa, a prokurator zażądał dla niego kary 25 lat więzienia.

### Eutanazja?

**P**ierwsza rozprawa odbyła się w maju 2014 roku. Sędzia podzielał argumentację prokuratury, że głównym motywem działania oskarżonego były pieniądze, chociaż nie ma wątpliwości, że Kamil K. chciał umrzeć. Obrońca zaś tłumaczył, że 25 lat więzienia to zdecydowanie za dużo: – *To ofiara nalegała i prosiła oskarżonego, by ten odebrał jej życie. To ofiara proponowała, kiedy oskarżony miał opory, że za zabójstwo zapłaci. Nie możemy traktować tak samo kogoś, kto zabija z motywacji zasługującej na potępienie, jak np. zazdrość czy chciwość, z kimś, kto zabił, bo współczuł, kto zabił na życzenie. Prokurator zaś ripostował, że mimo to, nie można tu mówić o zabójstwie eutanazyjnym, a kara nie może być niższa, bo oskarżony pozbawił życia człowieka i to w sposób okrutny: kopał go, bił, poderżnął gardło. Piotr A. z jednej strony przyznaje się do zbrodni, ale z drugiej zachowuje się jakby nic się nie stało.*



Za dokonanie zabójstwa sąd skazał Piotra A. na 15 lat więzienia. Zdaniem obrońcy mężczyzny, była to eutanazja, a więc jest to przestępstwo łagodniejsze, za które grozi maksymalnie 5 lat więzienia. Było pewne, że skończy się na odwołaniu.

Pod koniec listopada 2014 roku we wrocławskim sądzie obrońca skazanego domagał się uchylecia wyroku i zmniejszenia kary. – *Opinia psychiatryczna pokazuje, że jest on powierzchowny, wykazuje mało empatii* – poinformował sędziego.

Mężczyzna jednak nie zgodził się z opinią biegłego psychiatry. Twierdził, że w swoim życiu aż trzy razy uratował ludzkie życie. *Czy to dowód na brak empatii?* – pytał. Tej opinii mógłby przeczyć wcześniejszy wyrok za znęcanie się nad rodziną, czy zeznania żony oskarżonego. Kobieta zeznała, że jej mąż raczej nie należał do osób czułych na krzywdę innych. Z zawodu rzeźnik, ponoć nieraz miał grozić kobiecie, że mógłby i jej poderżnąć gardło.

Niestety na sali rozpraw nie było biegłego psychologa, któremu strony mogłyby zadawać pytania. Sprawa została odroczone. Kolejny termin wyznaczono za miesiąc.

– Do czynu doszło z litości i na prośbę pokrzywdzonego – przekonywał obrońca skazanego, domagając się zmiany kwalifikacji czynu na zabójstwo eutanazyjne.

Sąd nie przychylił się do tego wniosku, ale uznał, że nie było to typowe zabójstwo, dlatego zmniejszył karę z 15 do 12 lat więzienia.

Zdaniem sądu postępowanie Piotra A. nie było humanitarne, nie pozbawił życia ze współczucia, lecz wziął za to pieniądze od ofiary. A eutanazja ma miejsce wtedy, gdy ktoś zabija na żądanie i ze współczucia, a nie dla wymiernych korzyści.

Faktem jest, że Kamil K. chciał umrzeć, co potwierdzali w zeznaniach jego najbliżsi. W jego komputerze znaleziono też listy pożegnalne do rodziny.

– W dniu śmierci zachowywał się normalnie, kiedy wychodził z domu, nawet przez myśl mi nie przeszło, że widzę go po raz ostatni... – wyznała matka Kamila K.

Znajomi mężczyzny mają sobie za złe, że nie traktowali poważnie jego słów i SMS-ów, w których pisał, że ma już dość takiego życia, że jest zmęczony. Wiadomości ponoć powtarzały się i przybierały coraz to dramatyczniejszy ton: *Nie ma żadnej poprawy. Lepiej skończyć tę męczarnię... i tak znajdę jakieś źródło i eksmituję się z tego świata.* Często dywagował, czy lepiej byłoby rzucić się pod pociąg, czy może powiesić. O swoich dylematach ponoć rozmawiał nawet z nieznanymi osobami. Barman w jednym z lokali, do którego zaglądał, też pamięta, że często mówił o śmierci i o tym, że nie ma po co żyć. Stawiał piwo przypadkowym osobom.

Piotr A. przeprosił rodziców Kamila K. Wyznał, że żałuje, że nie powiedział im, jakie plany ma Kamil. Z drugiej jednak strony tłumaczył, że były pracodawca miał do niego zaufanie, a kiedy sprawa wyszłaby na jaw, mógłby się jeszcze bardziej załamać.

Rodzice Kamila nie mogą uwierzyć, jak można zabić kogoś dla 5 tysięcy złotych. Jak można zabić kogoś ze współczucia... ■

**Anna Jagodzińska**

Zmieniono wszystkie personalia i niektóre szczegóły.

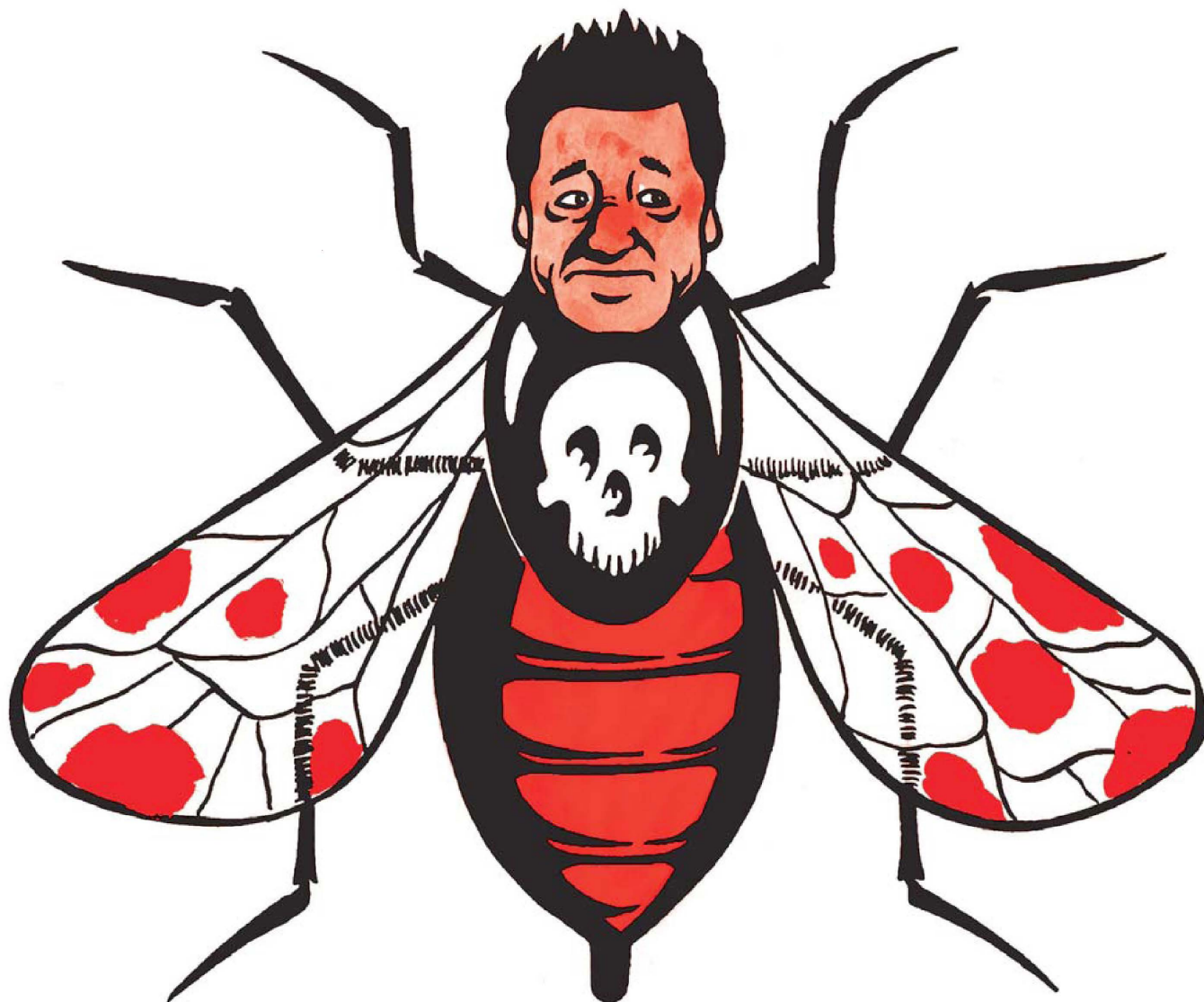
# KRÓLESTWO

Krzysztof STRUG

# ROBACTWA

Był 8 czerwca 1967 roku. Józef R., tak jak miał w zwyczaju, odwiedził swego brata i jego narzeczoną. Wczesnym popołudniem przekroczył próg ich mieszkania w kamienicy przy ul. Sienkiewicza 10 w Katowicach. Chwilę porozmawiali, po czym dziewczyna, która szykowała się

do wyjścia po zakupy, podeszła do okna, by sprawdzić, czy nie pada deszcz. Odsunęła firanki, jednak nie pogoda, a okno z czwartego piętra kamienicy przy ulicy Dąbrowskiego zwróciło jej uwagę. – Popatrzcie na to – rzekła, wskazując palcem na budynek obok.



**O**kno na poddaszu było czarne i wyglądało tak, jakby pozostawało w ciągłym ruchu, falowało. Po dokładniejszym przyjrzeniu się można było jednak zauważyć, że na ową czern składały się tysiące much, które obsiadły szybę i poprzez szpary we framudze włączyły do środka i wylaziły na zewnątrz. Owady były zbyt duże jak na „zwykłe” muchy.

– Stwierdziłem, że są to robaki, które siadają na zepsutym mięsie – zeznał później Józef R.

Obrzydający obrazek zaniepokoił obserwatorów. Uznali, że muchy wewnątrz mieszkania mogą oznaczać, że z jego lokatorem stało się coś niedobrego. Może nie żyje?

Jak się okazało – sąsiedzi z kamienicy przy Dąbrowskiego znali problem i wiedzieli, że to niejedyny kłopot z mieszkaniem na poddaszu, sympatycznego – ale niestety – często pijanego elektryka – Bogdana Arnolda. Robactwo wydostało się stamtąd całymi stadami: nie tylko przez okna, ale i drzwi, wylaziło też rurami kanalizacyjnymi i zsysem. Wraz z muchami z mieszkania dobywał się okropny fetor. Smród był nie do zniesienia.

8 czerwca 1967 roku milicja otrzymała doniesienie następującej treści:

*Zza drzwi mieszkania nr 9 wydobywa się trudny do wytrzymania fetor. Szyby oklejone są papierem, a okna po zewnętrznej stronie obsiadły roje much.*

Milicja nie zignorowała zgłoszenia. Na miejsce wysłano patrol. Funkcjonariusze, gdy dotarli na czwarte piętro, przekonali się, że opowieści o okropnym, duszącym smrodzie nie są przesadzone. Na uporczywe walenie do drzwi nikt jednak nie odpowiadał. Wyglądało na to, że w mieszkaniu nikogo nie ma, a przynajmniej nikogo żywego.

Milicjanci na pomoc wezwali straż pożarną. Akcja przyciągnęła na miejsce tłum gapiów, którzy z chodnika przyglądali się kolejnym czynnościom. Obserwatorzy byli tak zaciekawieni, że nawet nie zauważyli, jak wśród nich pojawił się znany im przecież mężczyzna. Człowiek ten miał zarzuconą przez ramię torbę wyglądającą na roboczą. Wmieszał się w grupę tylko na chwilę, spojrzął w górę, na okno mieszkania na poddaszu, po czym szybkim krokiem oddalił się z tego miejsca. Po kilkunastu sekundach zniknął za rogiem ulicy. Był to Bogdan Arnold, który właśnie wracał z pracy. To, co zobaczył przed swoim domem, upewniło go, że jego mroczna, długo skrywana tajemnica, właśnie wyszła na jaw.

Odszedł jak najszybciej, nie mając żadnego planu, poza tym, by w pierwszym lepszym sklepie kupić dwa tanie wina i upić się do nieprzytomności, co wkrótce zrobił.

## Larwy w ciałach

**S**trażak, który spuścił się na linie z dachu, za pomocą siekiarki rozbił szybę mieszkania. Momentalnie ze szpary wyleciała chmara much, wraz z nią z pomieszczenia wydostał się przeraźliwy smród. Odór był tak okropny, że wiszący na linie strażak odmówił wejścia do środka, chyba że w masce gazowej.

Tę wkrótce mu dostarczono. Okno kamienicy stało się otworem. Strażak, który przedostał się do mieszkania, błyskawicznie zorientował się, co tak przyciągało robactwo. Tuż pod parapetem leżało gnijące ludzkie ciało. Nie chcąc za długo przyglądać się, przebiegł przez pokój i otworzył drzwi oczekującym na klatce milicjantom.

Rozpoczęły się oględziny królestwa robactwa, przerywane wizytami u sąsiadów piętro niżej po to, by się umyć i zwymiotować, bowiem nawet najbardziej doświadczeni śledczy nie byli w stanie długo wytrzymać w tak makabrycznym otoczeniu.

Po drewnianej podłodze skromnego lokalu na poddaszu, które z suszarni zostało przystosowane do funkcji mieszkalnej, pełzały masy owadów. Smród był nie do zniesienia. Zwłoki pod parapetem stanowiły dopiero początek serii kolejnych odkryć. W łazience śledczy natrafili na dużą, drewnianą skrzynię murarską obitą blachą, która zapewne pełniła funkcję wanny. Cała była wypełniona ludzkimi szczątkami, fragmentami ciał i wnętrznościami, między którymi ruszały się tysiące larw. Zwłoki ludzkie były poszatkowane – znajdowały się w takim nieładzie, że nie sposób było określić liczby znajdujących się tam ciał. Spod „wanny” wystawało owinięte w gazetę i częściowo „zajęte” przez owady ludzkie podudzie.

W kolejnym pomieszczeniu – kuchni – znaleziono drewnianą skrzynię, a w niej kolejne zwłoki, które również stały się wylęgarnią dla robactwa. Na piecyku elektrycznym stał natomiast duży garnek przykryty denkiem. Pływała tam rozgotowana ludzka głowa. W balii przeznaczonej na pranie odnaleziono kolejną, a wśród rozkładających się szczątków jeszcze dwie ludzkie czaszki.

Śledczy, którzy często się zmieniali, bo nikt nie był w stanie przebywać w tym miejscu dłużej niż kilkanaście minut, zauważyli z przerażeniem, że obok ugotowanej w garnku głowy, na blacie kuchennym stał tykający budzik oraz mokry jeszcze pędzel do golenia. A więc – w takim otoczeniu – cały czas żył człowiek...

Kto był ofiarą morderstw? Ile ich było i co dokładnie się stało? Przed milicjantami i biegłymi stało bardzo trudne zadanie. Określenie tożsamości oraz liczby ciał okazało się wyjątkowo trudne. Zwłoki były rozczłonkowane oraz w stanie silnego rozkładu.

★ ★ ★

**N**a podstawie rozrzuconych po całym mieszkaniu elementów damskiej garderoby, bielizny oraz torebek stwierdzono, że ofiarami były kobiety. Poza tym jednak nic więcej nie było wiadomo. W mieszkaniu nie znaleziono żadnych dokumentów.

W określeniu czasu dokonania morderstw pomogły kokony musze. Obserwując ich warstwy oraz znając czas wylęgania się kolejnych larw rozwijającej się w padlinie muchy – plujki, określono okres rozkładu zwłok na ponad pół roku. Ostatecznie po żmudnej selekcji, segregacji i skompletowaniu ciał w prosektorium określono, że w mieszkaniu znajdowały się zwłoki czterech kobiet.

Znaleziono też prawdopodobne narzędzia zbrodni: młotek i metalowy drut wygięty w pętlę – używany do duszenia. Problemem nadal pozostawała tożsamość zamordowanych. Tę udało się ustalić częściowo – w przypadku jednej z kobiet pomocna była analiza materiału, z którego wykonano plomby zębów. Na podstawie kształtu czaszek sporządzono natomiast plastyczne rekonstrukcje wyglądu twarzy. W efekcie zidentyfikowano trzy, z czterech zamordowanych.

Okazało się, że były to kobiety bez stałej pracy i – często – stałego miejsca zamieszkania, zajmujące się prostytutką, na zakręcie życiowym, nie stroniące od alkoholu.

Makabryczne znalezisko w mieszkaniu zajętych przez robactwo rozeszło się pocztą pantoflową po całych Katowicach. Miasto huczało od plotek. Władza ludowa, która nie chciała stracić na prestiżu, zdając sobie sprawę, że problem jest „społecznie wrażliwy”, czyniła wszelkie starania, by jak najszybciej ująć sprawcę. Niestety Arnold nie tylko że nie wrócił do kamienicy przy ul. Dąbrowskiego, ale i przestał pojawiać się w pracy. Przepadł jak kamień w wodę.

### Sympatyczny sąsiad

**S**ąsiedzi z szarej i obdrapanej kamienicy lubili sympatycznego elektryka Arnolda. O jego przeszłości wiedziano niewiele. Pochodził z szanowanej, inteligentkiej rodziny, jednak nie poszedł w ślady ojca ani matki – szybko się usamodzielniał, ożenił i rozwiódł. Tyle wiedziano.

Przystojny i zawsze uśmiechnięty Arnold kłaniał się mieszkańcom, a w razie czego, jako „złota rączka” oferował pomoc – a to naprawił gniazdko, a to sprawdził przewody itp. Nigdy nie odmawiał takich przysług. Jedyne co mogli mieć mu za złe, to fakt, że zajął dotychczasową suszarnię na stry-

chu. Nie było dla niego mieszkania komunalnego, dlatego zgodził się zamieszkać w dostosowanym pomieszczeniu gospodarczym.

Przez blisko półtora roku sąsiedztwo elektryka nikomu nie wadziło. Co prawda często widziano go mocno pijanego, kiedy w takim stanie wracał z pracy, czy z miasta, ale kto by tam się przejmował takimi sprawami? Tylko święci nie piją.

Z czasem jednak obecność sąsiada z góry stała się kłopotliwa. Mieszkańców zdziwiło to, że Arnold obił swoje drewniane drzwi blachą – tak jakby się czegoś obawiał... Może kradzieży?

Nie to jednak było najgorsze. Po ponad półtora roku z mieszkania na poddaszu zaczął dobywać się okrutny smród. Fetor był tak silny, że czuć go było także na niższych kondygnacjach. Sąsiedzi zauważyli ponadto zadziwiające rozmnożenie robaków, larw i much, które przewodami kanalizacyjnymi i elektrycznymi dostawały się do wnętrza. Było ich tak dużo, że sąsiadka z dołu nabierała je na szufłę i wyrzucała. Zdarzało się, że w kuchni robactwo spadało wprost ze ścian na blaty, stół i talerze. Owady wylażyły też z połączenia kanalizacyjnego pod zlewem.

Życie pod mieszkaniem Arnolda stało się gehenną. Pewnego dnia, gdy wracał z pracy, kobieta z niższego piętra zagadnęła go na klatce schodowej o powód okrutnego fetoru.

– Panie sąsiedzie, co pan tam robi na górze, że ma pan tam tyle robactwa i smrodu? Nie da się tego znieść! – rzekła roztrzęsiona.

Arnold jednak nic nie dał po sobie poznać. Spokojnym i grzecznym tonem wyjaśnił, że to przez brak ustępu w mieszkaniu. Twierdził, że odór pochodzi z otwartego kanału, do którego się załatwiał. Było mu przykro z tego powodu i przyznał, że dla niego samego taka sytuacja jest trudna do zniesienia.

Sąsiadki nie przekonały te tłumaczenia. – Wie pan – ja mam węch dobry. Dla mnie to nie śmierdzi fekaliami, tylko jakoś inaczej – jak smród rozkładających się trupów. Pamiętam dobrze ten fetor z okresu okupacji. Niech pan z tym zrobi porządek, bo inaczej zgłoszę sprawę na milicję! – rzekła mu i zamknęła drzwi. Przez jakiś czas później Arnolda rzadko widywano w mieszkaniu. Pojawiał się sporadycznie, a jeśli już, to kompletnie pijany.

Pewnego ranka mieszkańcy kamienicy zastali dziwny widok. Na schodach siedziała całkiem naga, trzęsąca się kobieta. Błagała, by jak najszybciej otworzyć drzwi wyjściowe (kamienica była zamykana na noc) i wypuścić ją na zewnątrz. Nie chciała tłumaczyć, co się stało. Gdy tylko drzwi się otworzyły, naga wybiegła na ulicę. Później okazało się, że była to jedna z ofiar Arnolda, której nie udało mu się zabić.



### Słodki brutal

**N**iewysoki, krępej budowy, o przyjemnej, sympatycznej twarzy elektryk Bogdan Arnold – podobał się kobietom. Nie miał nigdy problemów z nawiązywaniem kontaktów z płcią przeciwną. W pracy zachowywał się wobec nich grzecznie. Nikt nie domyślał się, że za tą maską krył się człowiek o podwójnej osobowości. W swoim drugim wcieleniu Arnold przeobrażał się w ogarniętą rządzą seksu, agresji, dominacji i perwersji zwierzę, które jedynie pozorowało przed światem normalność.

Wszystkie zeznające później przed sądem partnerki Arnolda zeznawały to samo – był to człowiek o niepokohamowanym temperamencie seksualnym, jednocześnie wyjątkowo brutalny i agresywny. Czerpał radość z tego, że mógł traktować kobiety jak rzeczy, że był ich panem i władcą.

Pochodził z Kalisza, z szanowanej rodziny producentów fortepianów. Mimo że jego rodzice byli ludźmi kulturalnymi i należeli do „inteligencji”, on sam nie poszedł w ich ślady. Prawdopodobnie z przekory, bowiem ludzie, którzy mieli z nim styczność przyznawali, że był to człowiek „niegłupi”.

Arnold wyprowadził się z domu już w wieku 17 lat. Mimo sprzeciwu ojca szybko się ożenił. Pracował jako zwykły elektryk. Związek mał-

żeński młodzieńca nie przetrwał długo. Na jaw zaczęły wychodzić jego psychopatyczne skłonności. Pił coraz więcej, często wpadał w szał i bił żonę. Przemocą zmuszał ją do seksu. Nie przyjmował odmowy. Miał z kobietą dziecko, jednak po rozwodzie nie utrzymywał z nią ani z dzieckiem żadnych kontaktów. Wkrótce scenariusz się powtórzył jeszcze z dwiema innymi kobietami, które poślubił oraz konkubina, która również urodziła Arnoldowi dziecko.

Wszystkie te związki rozpadały się bardzo szybko, a kobiety uciekały od Arnolda, obawiając się o własne życie i zdrowie. Skłonność do alkoholu, agresji i perwersji przejawiała się tym, że Arnold wpadał na coraz dziwniejsze pomysły w zakresie praktyk seksualnych. Jedna z jego żon zeznała, że osiągał przyjemność wtedy, gdy dostatecznie ją upokorzył. Wyzywał, poniżał, następnie wiązał ręce i nogi i gwałcił.

Inna z byłych żon przyznawała, że miał on niepokohamowany apetyt na seks – za zgodą partnerki lub pod przymusem brał ją przeciętnie od dwóch do pięciu razy dziennie. Pewnej nocy zgwałcił ją wielokrotnie. W wiązał i bił – kazał gryźć się po całym ciele.

Żadna z partnerek tego na pozór miłego mężczyzny, nie była w stanie znieść życia z nim pod jednym dachem. Szybko uświadamiały sobie, że jest to człowiek z poważnymi problemami



psychicznymi, którego dewiacje mogą doprowadzić do tragedii.

Na Śląsk Bogdan Arnold przyjechał, będąc rozbitkiem życiowym. On sam jednak zdawał się nie przejmować zbyt swoję sytuacją. Żył w skromnym mieszkaniu na poddaszu. Do pracy nie za bardzo się przykładał. Często pod byle pozorem bumelował, wymyślając różne preteksty. Równie często go wyrzucano, głównie za to, że przychodził do zakładu mocno pijany.

Wolny czas spędzał w lokalnych barach i na melinach, gdzie upijał się do nieprzytomności. Zdarzało się, że wpadał w kilkudniowe ciągi pijackie, z których niewiele pamiętał. Utrzymywał wiele przelotnych kontaktów seksualnych – głównie z miejscowymi prostytutkami.

### Morderczy ciąg

**B**ył chłodny i szary jesienny dzień – 12 października 1966 roku. Arnold nie miał pomysłu jak go spędzić, więc wybrał rozwiązanie najprostsze – wizytę w knajpie. Padło na bar „Kujawiak”, który co wieczór gromadził alkoholiczków i szemrane towarzystwo z okolicy, włącznie z kobietami do towarzystwa.

Arnold usiadł przy stoliku, wcześniej zamawiając wódkę i przekąski. Zapalił papierosa, po czym przełknął pierwsze 50 gram alkoholu. Wódka mile rozchodziła się po organizmie. Łagodziła nerwy.

W knajpie było głośno. Pod sufitem unosiła się chmura tytoniowego dymu. Coraz bardziej pijany Arnold nie za bardzo przejmował się otoczeniem. Jak zeznał – kobieta, którą później zatłukł młotkiem, sama przysiadła się do jego stolika. Była to około 30-letnia Maria B., ale nie przedstawiła mu się. On zresztą nie pytał ani o imię, ani nazwisko.

Zaczęli rozmowę. Arnold zwrócił uwagę na miękką, śpiewną wymowę nieznaną. Gdy spytał o to, wytłumaczyła, że to dlatego, że pochodzi z Wołynia na Ukrainie. Rozmawiało im się dobrze. Nieznajoma wyraźnie była zainteresowana podtrzymaniem kontaktu. Arnold zamówił więc dla niej piwo i kilka setek wódki oraz kolejne przekąski. Po kilkunastu minutach rozmówczyni wyjawiała, że nie ma gdzie spać. Zaproponowała mu wyjście z lokalu. Arnold zrozumiał tę propozycję jednoznacznie. Zgodził się, oferując wizytę w swoim mieszkaniu.

Tak wkrótce zrobili, po drodze „zahaczając” o sklep monopolowy. Gdy już dotarli na miejsce, Arnold przygotował kanapki. Posilili się, popijając piwem i wódką. Atmosfera była przyjemna. Kobieta wydawała się chętna, by ich spotkanie przybrało bliższy, intymny charakter. Odstaniała zalotnie uda, prezentowała głęboki dekolt.

Arnold skorzystał z okazji. Podszedł do niej od tyłu. Objął i pocałował w szyję. Ona jednak

odsunęła go. – Nie tak szybko ptaszku. Chcesz pobzykać? Musisz zapłacić – rzekła i zażądała 500 zł za noc.

Mocno już pijany mężczyzna, gdy usłyszał te słowa – jak później zeznał – wpadł w szal. Chwycił jej torebkę i rzucił o ziemię. Kazał się natychmiast wynosić. Wtedy – według jego zeznań – nieznajoma podarła na sobie ubranie i zagroziła, że jeśli ją wyrzuci, oskarży go o gwałt, który zgłosi na milicję.

Rozjuszony Arnold nie namyślał się długo. Podbiegł do kobiety i z całej siły kopnął ją tak, że straciła równowagę. Następnie chwycił ją za szyję i zaczął dusić. Ofiara próbowała się bronić – szamotała się. Arnold czuł, że kobieta może się wyswobodzić. Chwycił za duży młotek ustawiony obok kuchenki i kilka razy mocno uderzył ją w głowę.

Kiedy wyczuł, że trzyma w uścisku bezwładne ciało, upuścił je na podłogę. Kobieta nie oddychała. Nie żyła. Arnold przeniósł zwłoki na tapczan. Chwilę przyglądał się im i sprawdzał oddech, by upewnić się, że ma do czynienia z trupem. Gdy nabrał stuprocentowej pewności, ogarnął go silny lęk. Nie wiedząc co zrobić ze zwłokami, włożył je do tapczanu. Następnie niepewnym krokiem wygramolił się z mieszkania. Ruszył do miasta upić się do nieprzytomności.

W ciągu alkoholowym był przez kilka dni. Gdy wytrzeźwiał i wrócił na poddasze, wyczuł już subtelny swąd rozkładającego się ciała. Postanowił pozbyć się zwłok. W tym celu następnego dnia przyniósł z pracy gumowe rękawice i pyłochronną maskę. Gdy wyciągnął ciało z tapczanu, stwierdził, że było już sztywne. By lepiej nim operować, próbował je „zmiękczyć”, przykładając do skóry kabel wysokiego napięcia. Próba jednak się nie powiodła. Chciał też spalić zwłoki w kominku, ale jako że nie miał węgla, tylko drewno, te paliły się bardzo powoli. Ostatecznie zdecydował się na inny wariant. Chwycił za nóż kuchenny... Resztę umieścił w drewnianej skrzyni obitej blachą, którą następnie schował.

Po jakimś czasie, gdy fetor się nasilał, a na zwłokach pojawiły się pierwsze muchy i larwy, postanowił jeszcze raz pozbyć się ciała. W tym celu próbował kupić sodę kaustyczną, ale nie mógł jej nigdzie dostać, więc nabył 10 paczek chloru, który rozpuścił w gorącej wodzie i takim roztworem zalał gnijące ciało. W ten sposób – jak później zeznał – zapobiegł dalszemu procesowi rozpadu. Wcześniej, męcząc się długo, przy użyciu kuchennego noża, odjął zwłokom głowę, następnie wsadził ją do garnka. Nie mogąc znieść tego widoku, wyszedł do baru napić się wódki. Gdy wrócił, był na tyle „znieczulony”, że rozkładająca się głowa nie obrzydzała go. Zalał ją wodą i postawił na włączony piecyk. Przysnął.

Kiedy się obudził, okazało się, że zawartość naczynia się ugotowała.

★ ★ ★

**T**ak „rozwiązując” problem, wrócił do „normalnego” życia, czyli wizyt w pracy i upijania się w miejscowych barach. Mord, którego się dopuścił, zasiał jednak szybko kiełkujące ziarno w jego psychice. Uświadomił sobie, że to, co się stało, sprawiło mu dużą przyjemność, większą niż wszystkie dziwactwa i okrucieństwa, jakich dopuścił się do tej pory.

12 marca 1967 roku Bogdan Arnold upijał się w barze „Mazur”. W tym miejscu poznał kolejną swoją ofiarę. Była to kobieta, której tożsamości nigdy nie udało się ustalić. Na początku postawił jej piwo, następnie wódkę. Gdy już nieco podpił, nieznajoma zgodziła się spędzić z nim noc.

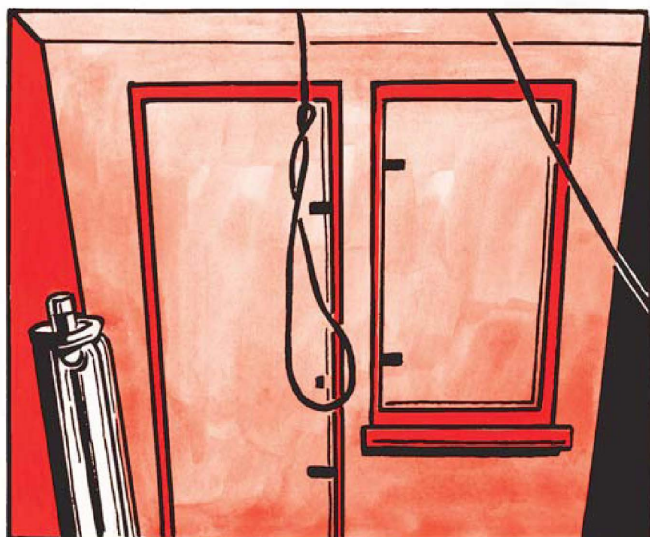
Scenariusz mordu był podobny do poprzedniego. Po wyjściu z knajpy, Arnold był miły, nawet szarmancki. Zakupił po drodze dodatkowy alkohol, a w mieszkaniu przygotował kanapki. Rozpoczęli libację, jednak wraz z piciem, mężczyzna stawał się coraz bardziej brutalny. Podczas seksu zaczął ją bić. Przerażona, pijana kobieta zorientowała się, że ma do czynienia z sadystą. Kazał m.in. jej klękać i błagać o litość. Okładał pasem. Bił pięściami.

W końcu, gdy przestał się nad nią znęcać, związał jej ręce i zasnął. Na drugi dzień makabra powtórzyła się. Gwałcił ją wielokrotnie, wymyślając najróżniejsze perwersje. Zapłakana ofiara była zbyt sparaliżowana strachem, by próbować walczyć. Wola wyswobodzenia się pojawiła się dopiero wtedy, gdy usłyszała dźwięk kroków dobywający się z klatki schodowej. Zaczęła krzyczeć i wzywać pomocy. Wtedy złapał ją za szyję. Z całej siły nacisnął krtań. Twarz ofiary stała się sina. Próbowwała się szarpać, ale szybko traciła siły. Po kilku minutach już nie żyła.

Po wszystkim Arnold zwłoki poćwiartował – odciął wszystkie kończyny oraz głowę. Tkanki miękkie zmielił w maszynce do mięsa. Tułów umieścił w wannie, obok wcześniejszych zwłok, a odrąbaną głowę ugotował. Gdy już rozprawił się z ciałem, postanowił, że na drugi dzień nie pójdzie do pracy. Zamiast tego wyszedł do miasta, gdzie wkrótce upił się do nieprzytomności.

★ ★ ★

**M**inał zaledwie miesiąc od morderstwa, gdy podczas kolejnej pijackiej eskapady, upatrzył sobie nową ofiarę. Była to 35-letnia Stefania M., upośledzona umysłowo kobieta, która prostytutką zarabiała na życie. Arnold przysiadł się do niej w katowickiej restauracji



„Hungaria”. Wykorzystał fakt, że nieznajoma była kompletnie pijana.

Scenariusz się powtórzył – po postawieniu piwa i kieliszka wódki oraz krótkiej rozmowie zaproponował kobiecie wizytę w swoim domu. Ta zgodziła się bez wahania. Wkrótce byli już w mieszkaniu na poddaszu, gdzie w cynkowej wannie leżały dwa rozkładające się ciała.

Zamroczona alkoholem prostytutka była zbyt pijana, by wyczuć wyraźnie już dobywający się fetor. Po posiłku i kolejnej popijawie zaczęli uprawiać seks. Arnold cały czas obawiał się, że nieznajoma w końcu odkryje gnijące zwłoki. Postanowił ją związać. Wykorzystał fakt, że kobieta była upośledzona, łatwowierna oraz pijana. Nad ranem wstał i oświadczył, że musi iść do pracy i żeby jego towarzyszką opuściła mieszkanie. Gdy ta zaprotestowała, twierdząc, że nie ma gdzie się podziać, odparł, że boi się ją zostawić samą, gdyż kilka razy zdarzały mu się kradzieże. Może to zrobić, pod warunkiem, że kobieta da się skrepować. Naiwna Stefania M. zgodziła się na to.

Gdy tylko związał jej ręce, zamiast ubrać się i wyjść do pracy, rozebrał się i zaczął brutalnie gwałcić przerażoną ofiarę. W końcu mógł bez obaw robić z nią, na co tylko miał ochotę. Pastwienie się nad Stefanią M. trwało kilkanaście godzin. Gdy odmawiała dalszego współżycia i nie miała już siły, Arnold „pobudzał ją” prądem, dotykając nóg kablami wysokiego napięcia. Podczas przestępstwa twierdził, że taka metoda wzmacnia apetyt seksualny...

Następnego dnia, po całonocnej orgii i znęcaniu się nad ofiarą, przerywanym chwilami piciu wódki, Arnold doszedł do wniosku, że jednak musi stawić się w pracy. Wziął do ręki ostry igielitowy drut, z którego zrobił pętlę. Mimo błagań i płaczu zarzucił ją na szyję kobiety i zaczął dusić z całej siły. Kiedy poczuł, że ciało nie stawia żadnego oporu, odciął zwłokom głowę, którą wrzucił do

balii przeznaczonej do prania bielizny. Następnie odciął nogi. Jedną kończynę wrzucił do wanny, gdzie trzymał pozostałe zwłoki, a drugą owinął w gazetę i schował pod wanną. Po wszystkim ubrał się i poszedł do pracy.

★ ★ ★

**P**o trzecim morderstwie zdał sobie sprawę, że nie ma już odwrotu i że jego tajemnica wkrótce wyjdzie na jaw. W mieszkaniu panował okrutny fetor, mimo to nie zrobił nic, by pozbyć się gnijących ciał, zamiast tego coraz rzadziej przebywał w domu. Kiedy tylko mógł, włóczył się po melinach, bądź spał na dworcu. Do mieszkania pełnego robactwa przychodził tylko po to, by je przewietrzyć.

Pragnienie zabijania, perwersyjna przyjemność ze znęcania się i poniżania ofiary, były jednak coraz silniejsze. Na tyle, że z każdym kolejnym morderstwem Arnold chciał więcej. Okres między kolejnymi zabójstwami był coraz krótszy.

21 maja 1967 roku lekko podпиты kręcił się w okolicach katowickiego dworca PKP. Znał te rejony. Tutaj – podobnie jak w niektórych barach – również można było spotkać prostytutki.

Nie pomylił się. Jego wybór padł na zziębniętą, krążącą bez celu wokół dworca około 30-letnią kobietę. Gdy nawiązał z nią rozmowę, z akcentu rozpoznał, że to Ślązaczka, co – jak później zeznał – dodatkowo go podnieciło. Zaproponował jej wizytę w swoim domu, by „się ogrzała”. Nieznajoma zgodziła się. Jak później ustalono jej tożsamość – była to bezdomna i lekko upośledzona, 30-letnia Helga Erika S.

Na poddaszu cały koszar powtórzył się jeszcze raz. Arnold skrępował swoją ofiarę i wielokrotnie gwałcił oraz bił. Gdy odmawiała wykonywania poleceń lub nie miała siły, do „pobudzania” używał specjalnie skonstruowanego przez siebie transformatora. Na drugi dzień, po kilkunastogodzinnej gehennie, kiedy musiał iść do pracy, udusił swoją ofiarę jej własną pończochą. Nie wiedząc co zrobić ze zwłokami (nie mieściły się już w wannie), porzucił je pod oknem i przykrył płaszczem.

### Czy to ważne ile?

**O**d tamtej pory pojawiał się w swoim mieszkaniu sporadycznie, by je przewietrzyć. Wiedział, że odkrycie jego morderstw to kwestia czasu. Błąkał się po melinach i spał na dworcach.

8 czerwca 1967 roku postanowił odwiedzić lokal na poddaszu, by zmienić ubranie i otworzyć na chwilę okna. Wracał wtedy z pracy i jeszcze był trzeźwy. Gdy z daleka ujrzał tłum zgromadzony wokół kamienicy, domyślił się, że prawda

wyszła na jaw. Nabrał pewności, kiedy był już całkiem blisko i zobaczył strażaka wchodzącego przez okno do jego mieszkania. Nie namyślając się długo, oddalił się z tego miejsca.

Po odkryciu gnijących ludzkich szczątków władza ludowa postawiła sobie za punkt honoru jak najszybsze znalezienie mordercy. W tym celu zablokowano nawet drogi wyjazdowe z Katowic. Poszukiwania Arnolda jednak nic nie dawały. Przepadł jak kamień w wodę. Przeszedł do pracy. Zniknął.

W rzeczywistości ten wykolejony przez własne chore instynkty człowiek, nie miał pojęcia co ze sobą zrobić. Nie uciekł daleko. Przez tydzień ukrywał się na hałdach węglowych. Próbował też popełnić samobójstwo, ale jak zeznał później – nie udało mu się to, gdyż sznur się zerwał.

Ostatecznie – po tygodniu błąkania się, sam zgłosił się na milicję. Od razu przyznał się do wszystkiego. Ze szczegółami i bez ogródek mówił o tym, jak zabijał. Na manekinach prezentował morderczy uścisk za pomocą drutu.

Mówił, że wszystko zrobił świadomie, jednocześnie jednak stawiał siebie w roli ofiary, którą zewnętrzne okoliczności pchały do zabijania. W kwestii perwersji seksualnych utrzymywał, że wszystko działo się za zgodą jego partnerek, aż do wiązania rąk. Wtedy pozwalał sobie na wszelkie dziwactwa i okrucieństwa, jakie tylko przyszły mu do głowy.

Za swoje postępowanie obwinał dotychczasowe żony, z którymi się rozszedł. Twierdził, że mordował z „nienawiści wobec kobiet”, a zadra powstała po rozstaniach doprowadziła do pierwszego zabójstwa i w efekcie kolejnych.

Z półrocznej obserwacji w szpitalu psychiatrycznym wynikało, że Arnold nie był osobą ani upośledzoną, ani chorą psychicznie. Miał świadomość czynów, które popełnił. Biegli orzekli, że był to człowiek o silnie rozwiniętej psychopatii, w której alkoholizm wzmacniał negatywne tendencje. Kierował się motywacją seksualno-sadystyczną. Brak żalu i wyrzutów sumienia z powodu czynów, jakich się dopuścił, wskazuje na niedostateczne wykształcenie uczuciowości wyższej.

Bogdan Arnold przeszedł do niechlubnej historii polskiej kryminalistyki. Był jednym z najokrutniejszych morderców, jacy kiedykolwiek działali w naszym kraju. Jego życiorys do dziś jest analizowany przez kryminologów i psychiatrów. Pokazuje, jak wielką nienawiść może nosić w sobie człowiek. Arnold został stracony przez powieszenie 16 grudnia 1968 roku.

Wcześniej – na pytanie sędziego o to, ile tak naprawdę kobiet zamordował, odrzekł: – *Czy to ważne ile? Osiem czy szesnaście i tak będę wisiał.* ■

**Krzysztof Strug**

WYSYŁKA W 24H! SZCZEGÓŁY I ZAMÓWIENIA CODZIENNIE od 9.00-22.00 POD NR TEL/FAX (32) 43 30 144; 502 741 706. FAKTURY, GWARANCJA. PŁATNOŚĆ PRZY ODBIORZE (+ KOSZT DOSTAWY OD 3,50ZŁ).

FHU... WS" 44-238... LESZCZYŃKI K. RYBNIKA. UL. POJDY 83A. WOJ. ŚLĄSKIE. BIURO CZYNNE OD PN-PT W GODZ. 10-18. W SOB. OD 10-15

www.24a-z.pl

1. Gzyzbrane Bez zezwolenia.

1) Pieprzowy na psy, zasięg do 3m. 50ml - 40zł 2) Para... 3) Paralicz - obzezwolenie...

2. Piłostylowy gazem

1) Piłostylowy gazem, przeznaczony do... 2) Piłostylowy gazem, przeznaczony do...

3. PROMOCJA!

Strzebiła Shotgun ASG. Na kule i arm... 1) Strzebiła Shotgun ASG. Na kule i arm...

4. Piłostylowy na kule 6mm

1) Piłostylowy na kule 6mm, plastikowe, gumowe... 2) Piłostylowy na kule 6mm, plastikowe, gumowe...

5. Piłostylowy na kule 6mm

1) Piłostylowy na kule 6mm, gumowe, kompozytowe i aluminiowe... 2) Piłostylowy na kule 6mm, gumowe, kompozytowe i aluminiowe...

6. NOWOŚCI!

1) Rewolwer Hukowo-Armowy, Major Full Metal na Kule... 2) Rewolwer Hukowo-Armowy, Major Full Metal na Kule...

7. NOWOŚCI!

1) Piłostyl Hukowo-Armowy S1... 2) Piłostyl Hukowo-Armowy S1...

8. Repliki Piłostylów Skalkowych.

1) Czarno-przebiegły zapalniczk... 2) Piłostyl Skalkowy 2XVII... 3) Piłostyl Skalkowy 2XVII...

9. Wiatrówniki na śrutu

1) Wiatrówniki na śrutu 4,5mm (BBS). Bez zezwolenia... 2) Wiatrówniki na śrutu 4,5mm (BBS). Bez zezwolenia...

10. Wiatrówniki na śrutu

1) Wiatrówniki na śrutu 4,5mm (BBS). Bez zezwolenia... 2) Wiatrówniki na śrutu 4,5mm (BBS). Bez zezwolenia...

11. Wiatrówniki 4,5, 5,5 mm

1) Wiatrówniki 4,5, 5,5 mm. Światłowody... 2) Wiatrówniki 4,5, 5,5 mm. Światłowody...

12. Profesjonalne wiatrówniki 4,5, 5,5 mm

1) Profesjonalne wiatrówniki 4,5, 5,5 mm... 2) Profesjonalne wiatrówniki 4,5, 5,5 mm...

13. Łuki sportowe.

1) Zestaw łuku sportowego... 2) Zestaw łuku sportowego...

14. Miecze samurajskie.

1) Wspaniałe katany... 2) Wspaniałe katany...

15. Szabła Szlachcka

1) Szabła Szlachcka. Profesjonalna... 2) Szabła Szlachcka. Profesjonalna...

16. Czynniki składowane

1) Czynniki składowane sms-ów i nr telefonów z karty SIM... 2) Czynniki składowane sms-ów i nr telefonów z karty SIM...

17. Wzmacniacz

1) Wzmacniacz sygnału (zasilany)... 2) Wzmacniacz sygnału (zasilany)...

18. Szpiegowski zegarek

1) Szpiegowski zegarek na rękę z kryptowaniem... 2) Szpiegowski zegarek na rękę z kryptowaniem...

19. Powiadomienie

1) Powiadomienie o włamaniu/uladzie... 2) Powiadomienie o włamaniu/uladzie...

20. Podsluchany komputer

1) Podsluchany komputer, biur... 2) Podsluchany komputer, biur...

21. Wyciepki

1) Wyciepki na www.24a-z.pl... 2) Wyciepki na www.24a-z.pl...

22. Podsluchany komputer

1) Podsluchany komputer, biur... 2) Podsluchany komputer, biur...

23. Monitoring TCS

1) Monitoring TCS. GSM A Umieszczony... 2) Monitoring TCS. GSM A Umieszczony...

24. Podsluchany sejmice

1) Podsluchany sejmice przez szkiełko... 2) Podsluchany sejmice przez szkiełko...

25. Mikro-Podsluchany

1) Mikro-Podsluchany Rejestrator... 2) Mikro-Podsluchany Rejestrator...

26. Diktaryony cyfrowe

1) Diktaryony cyfrowe... 2) Diktaryony cyfrowe...

27. Mikrofon kierunkowy

1) Mikrofon kierunkowy... 2) Mikrofon kierunkowy...

28. Szpiegowski pilot

1) Szpiegowski pilot... 2) Szpiegowski pilot...

29. Szpiegowski długopis

1) Szpiegowski długopis... 2) Szpiegowski długopis...

30. Kamery szpiegowskie

1) Kamery szpiegowskie... 2) Kamery szpiegowskie...

31. Ukryte Kamery Szpiegowskie

1) Ukryte Kamery Szpiegowskie... 2) Ukryte Kamery Szpiegowskie...

32. Monitoring komputera

1) Monitoring komputera... 2) Monitoring komputera...

33. Wielofunkcyjny

1) Wielofunkcyjny Mikro-Kamera... 2) Wielofunkcyjny Mikro-Kamera...

34. Profesjonalny Lokalizator

1) Profesjonalny Lokalizator... 2) Profesjonalny Lokalizator...

35. Zapisujące podsluchanie

1) Zapisujące podsluchanie... 2) Zapisujące podsluchanie...

36. Atrapy kamer

1) Atrapy kamer... 2) Atrapy kamer...

37. Zegarki Szpiegowskie

1) Zegarki Szpiegowskie... 2) Zegarki Szpiegowskie...

38. Podsluchanie Otoczenia

1) Podsluchanie Otoczenia... 2) Podsluchanie Otoczenia...

39. Wielofunkcyjny

1) Wielofunkcyjny Mikro-Kamera... 2) Wielofunkcyjny Mikro-Kamera...

40. NOWOŚCI!

1) Kamera HD... 2) Kamera HD...

41. NOWOŚCI!

1) Kamera Bezprzew. IP... 2) Kamera Bezprzew. IP...

42. NOWOŚCI!

1) Kamera Full-HD... 2) Kamera Full-HD...

43. Szpiegowska

1) Szpiegowska mikro-kamera... 2) Szpiegowska mikro-kamera...

44. Szpiegowska

1) Szpiegowska mikro-kamera... 2) Szpiegowska mikro-kamera...

45. Szpiegowska

1) Szpiegowska mikro-kamera... 2) Szpiegowska mikro-kamera...

46. Akomaty

1) Akomaty cyfrowe... 2) Akomaty cyfrowe...

47. Tłumacz

1) Tłumacz Kieszonkowy... 2) Tłumacz Kieszonkowy...

48. Wysokiej

1) Wysokiej Jakości Lornetka... 2) Wysokiej Jakości Lornetka...

49. Wykrzywacze

1) Wykrzywacze metali... 2) Wykrzywacze metali...

50. Odstraszacz

1) Odstraszacz zwierząt... 2) Odstraszacz zwierząt...

51. Dłapawo

1) Dłapawo... 2) Dłapawo...

52. Akomaty

1) Akomaty cyfrowe... 2) Akomaty cyfrowe...

53. Kamery

1) Kamery... 2) Kamery...

54. Piłostylowy

1) Piłostylowy... 2) Piłostylowy...

55. Kamera

1) Kamera... 2) Kamera...

56. Antyrady

1) Antyrady... 2) Antyrady...

57. Profesjonalne

1) Profesjonalne aparaty... 2) Profesjonalne aparaty...

58. Oszczędnicz

1) Oszczędnicz... 2) Oszczędnicz...

59. Zegarki

1) Zegarki... 2) Zegarki...

60. Kamery

1) Kamery... 2) Kamery...

61. Kamera

1) Kamera... 2) Kamera...

62. Marker

1) Marker... 2) Marker...

63. W NASZEJ OFERCIE

1) W NASZEJ OFERCIE... 2) W NASZEJ OFERCIE...

# JAJECZNICA

**Konrad BURACZEWSKI**

– Oskarżony Ryszard W. działając w bezpośrednim zamiarze pozbawienia życia, kilkakrotnie ugodził Gustawa D. nożem, zadając mu trzy rany klute klatki piersiowej, dwie rany klute przecinające lewą

komorę serca, ranę klutą przecinającą przestrzeń międzyżebrową, trzy rany klute okolicy grzbietu, w wyniku czego pozbawił życia Gustawa D. – odczytywał akt oskarżenia prokurator przed obliczem Temidy.



**K**toś zupełnie nieznający akt sprawy pomyślałby, że oskarżony miał jakieś szczególne powody, żeby z taką zaciętością tyle razy wbić ostrze noża w ciało kolegi. Tymczasem prawda była zupełnie inna – banalna i brutalnie przyziemna, zamykająca się na... talerzu z jajecznicą.

★ ★ ★

**K**ilka lat temu szerokim echem w całej Polsce odbiła się kampania społeczna „Bo zupa była za słońca”. Wymowne hasło, które do dziś wiele osób kojarzy z sugestywnym zdjęciem przedstawiającym pobitą kobietę i dziecko, mające zwrócić uwagę na problem przemocy domowej. Tytułowa „zupa” miała być oczywiście jedynie pretekstem do wszczęcia awantury przez rozwścieczonego ojca. Niestety polskie kroniki kryminalne każdego roku odnotowują sporo przypadków dramatycznych zdarzeń, gdzie przykładem zupa czy inny błąh, niedorzeczny powód staje się punktem zapalnym uruchamiającym łańcuch tragicznych wypadków.

Choć trudno to sobie wyobrazić, ale źle przyrządzony posiłek bywa pretekstem nie tylko do awantury czy pobicia, ale wręcz pozbawienia życia drugiego człowieka. Tak było w przypadku dwóch kumpli od kieliszka z Bytomia – Ryszarda W. i Gustawa D.

### Wizyta na melinie

**W**ezwanie dotyczyło podejrzenia popełnienia zabójstwa. Gdy policjanci przyjechali na miejsce zdarzenia, oczom ich ukazał się sporych rozmiarów rozgardiasz charakterystyczny dla melin, w których od kilku dni spożywa się alkohol. Poprzewracane butelki, bezwładnie porzucane ubrania, wszędzie wyczuwalny swąd taniego alkoholu, wymieszany z aromatem własnoręcznie skręcanych papierosów. W sypialni na dywanie w kałuży zastygłej krwi leżał bez ruchu 40 – 50-letni mężczyzna.

W trakcie oględzin miejsca zdarzenia znaleziono nóż z płamami w kolorze czerwonobrunatnymi wbity w wersalkę oraz rozległe plamy krwi na prześcieradle i pościeli leżącej na łóżku. Śledczy starannie oznaczali, zabezpieczali i fotografowali wszystkie te ślady. Wśród nich była również patelnia stojąca na piekarniku z resztkami zastygłej, rozbełtanej jajecznicy. Pozornie niewiele znaczący szczegół niebawem okazał się istotny dla całej sprawy.

Zameldowany w mieszkaniu Ryszard W. został zatrzymany do wyjaśnienia po około trzech godzinach. Śledczy zlokalizowali go pod jednym z okolicznych sklepów spożywczych, gdzie konsumował kolejne wino. Wykonane badania na zawartość alkoholu w wydychanym powietrzu wykazały 2,5 promila. Stan upojenia, w jakim się znajdował,

nie pozwalał na rozpoczęcie jakichkolwiek czynności z jego udziałem, więc najpierw trafił do izby wytrzeźwień. Dopiero po upływie 24 godzin był w stanie złożyć pierwsze zeznania.

– To co tam się u was wydarzyło w ostatnich dniach? – zaczął jeden z przesłuchujących prokuratorów.

– No, wypiliśmy trochę, wypiliśmy, a potem zaczęliśmy się kłócić i tak jakoś wyszło – streścił przebieg zdarzeń zatrzymany.

### Pijacka gościna

**W**szystko zaczęło się kilka dni wcześniej, gdy Gustaw zadzwonił do Ryszarda z prośbą o przygarnięcie go na kilka dni pod swój dach. Obaj znali się od paru lat ze szpitala, gdzie w tym samym czasie przebywali na przymusowym, ale jak widać nieskutecznym dla nich odwyku alkoholowym.

– Gustaw mówił, że ma jakieś problemy z mieszkaniem... Wykwaterowali go z jednego, a jeszcze nie dostał przydziału na inne socjalne, więc potrzebuje schronienia na jakiś czas. Zgodziłem się, powiedziałem, że może kilka dni u mnie przenocować – relacjonował Ryszard W.

Wizyta w mieszkaniu Ryszarda szybko przerodziła się w mocno zakrapiany ciąg alkoholowy. Mężczyźni pili wódkę i tanie wina, oglądali telewizję, co jakiś czas jeden albo drugi wychodził do sklepu uzupełnić zapasy jedzenia i alkoholu. Obaj mężczyźni byli bezrobotni. Utrzymywali się z kilkusetzłotowych rent, od czasu do czasu dorabiając sobie gdzieś na budowie, wykonując nieskomplikowane prace. Na wysokokowe trunki nigdy sobie nie żalowali. Gospodarz spał w sypialni, a gość na kanapie w pokoju.

Jak długo to wszystko trwało, Ryszard nie był w stanie powiedzieć. Mogły to być trzy dni, mógł być cały tydzień – w oparach alkoholu zupełnie zatracił poczucie czasu. Pamiętał jednak, że kilkakrotnie wdawał się w kłótnie z lokatorem.

– Siedział u mnie, jadł z mojej lodówki, spał w mojej pościeli, to mógł jakoś się bardziej odwdzięczyć, chociażby zrobić jakiś obiad... Ale on nawet palcem nie kiwnął! – zeznawał zatrzymany.

### Ta ostatnia jajecznica

**P**rzebieg istotnych dla sprawy krytycznych zdarzeń udało się odtworzyć w oparciu o zebrane materiały dowodowe, zabezpieczone ślady na miejscu i zeznania Ryszarda W.

Tego feralnego poranka mężczyźni najprawdopodobniej wdali się ponownie w kłótnię.

– Leżysz jak ten pan na włościach, czekasz, aż sam ci podam coś do jedzenia? – irytował się gospodarz.

– Dobra, uspokój się już! Siedź, zaraz zrobię jakieś śniadanie! – miał oznajmić Gustaw.

## TRYWIALNY POWÓD

Jak powiedział, tak zrobił. Wyciągnął patelnię, z lodówki wyjął cztery jajka. Znalazł jakiś kawałek przyschniętej kiełbasy i cebulę, które pokroił, a następnie wrzucił na rozgrzane masło na patelni. Brał się już za wbijanie jajek, gdy odezwał się Rysiek.

– Tylko nie trzymaj tego za długo na patelni! Nie lubię takiej suchej, ściętej jajecznicy! – zasugerował koledze.

– Dobra, dobra, to w końcu ja robię śniadanie, czy ty?! Zrobię, jak trzeba! – odburknął Gustaw.

Czy naumyślnie dłużej trzymał danie na dużym ogniu, czy może zapomniał o nim, rozlewając do śniadania wino do szklanek? Tego nie udało się stwierdzić. Fakty były takie, że gdy podał z patelni porcję na talerz stojący przed Ryszardem, ten wpadł w istny szal.

– Mówiłem ci przecież, że nie lubię takiej ściętej! Głuchy jesteś, czy co?! – wrzasnął poirytowany. Kiszki już ostro grały mu marsza, tymczasem dostał do zjedzenia coś, co w jego opinii w życiu nie przeszłoby mu przez gardło.

– Tak wygląda jajecznica, chłopie! A nie jakieś tam rzadkie glutiny! – odparował Gustaw.

– Nie zjem tego syfu! Mówiłem ci, jak masz ją zrobić! – nie odpuszczał gospodarz, zaciskając pięści.

– Twoja strata, nie to nie! Zjem za ciebie! – wypalił „kucharz”, sięgając po drugi talerz.

– Ty dziadzie, specjalnie tak ściąłeś jajka, żeby zeżreć moją porcję! To ja cię tu przyjmuję, goszczę, a ty mnie tak rąbiesz!?! – wybuchnął Ryszard i energicznie rzucił się na swojego lokatora.

Mężczyźni zaczęli się szarpać, w pewnym momencie w dłoń gospodarza błysnęło ostrze kuchennego noża. Po chwili Gustaw brocząc krwią, osunął się na ziemię...

★ ★ ★

**D**wóch kolegów Ryszarda również zatrzymanych do wyjaśnienia zeznało, że kontaktował się on z nimi już po tragicznym zdarzeniu, bełkotliwie wyznając przez telefon: „Załatwiłem go, leży sztywny!”. Znajomi początkowo nie dawali wiary tym słowom, znając wybuchowy i porywczy charakter Słazaka i zinterpretowali to bardziej jako coś mieszczącego się w granicach „normalności”.

– Najpierw myślałem, że po prostu gada po pijaku jakieś głupoty, albo dał tamtemu w zęby, a chłop zamoczony alkoholem śpi gdzieś pod stołem. Zupełnie zignorowałem te słowa, nie przywiązywałem do nich żadnej wagi. Ale jak wpadłem do niego wieczorem na fiaszkę, to zrozumiałem, że to jednak poważna sprawa – zeznawał znajomy z dzielnicy, Dariusz J., który po odkryciu zakrwawionego ciała zadzwonił na pogotowie.

Lekarz z pogotowia ratunkowego nie miał tu wiele do zrobienia. Mógł jedynie stwierdzić zgon

i natychmiast wezwać na miejsce zespół policji kryminalnej.

Przyczyną zgonu Gustawa D., jaką stwierdzono podczas sekcji zwłok, były głębokie rany klute klatki piersiowej z uszkodzeniem płuca, serca i wątroby z krwotokami wewnętrznymi. Zdaniem biegłych, rany te zostały zadane narzędziem twardym, płaskim, ostrym i jednosiecznym, takim jak np. nóż. Charakter i umiejscowienie ran wskazywał na działanie obcej ręki. U denata stwierdzono 3 promile we krwi, a w moczu 4,1 promila alkoholu etylowego.

Ostatnią osobą, która z nim przebywała, był gospodarz mieszkania Ryszard W. Jego zachowanie i pierwsze zeznania nie pozostawiały wątpliwości, że powinien odpowiadać w tej sprawie jako ktoś więcej niż zwykły świadek. Usłyszał zarzuty z paragrafu mówiącego o zabójstwie i trafił do tymczasowego aresztu.

### Atak czy obrona konieczna?

**M**ężczyzna, składając wyjaśnienia, od samego początku nie zaprzeczał, że ugodził pokrzywdzonego nożem, ale zastaniał się niepamięcią co do konkretnych okoliczności, w jakich miało do tego dojść. Gdy padło pytanie: „Czy oskarżony pamięta, kto podczas kłótni pierwszy sięgnął po nóż”, wówczas Ryszard „przypomniał” sobie, że... pierwszy zrobił to Gustaw, który miał rzucić się na niego z nożem! On dopiero podczas szarpaniny, rzekomo broniąc się przed atakiem, wyrwał mu narzędzie zbrodni.

W toku dalszego postępowania przed katowickim sądem okręgowym, Ryszard instruowany przez obrońcę, konsekwentnie trzymał się tej wersji zmierzającej w kierunku obrony koniecznej, z ewentualnym przekroczeniem jej granic. Twierdził, że jedynie wykręcił pokrzywdzonemu rękę z nożem, a ostrze nacisnął w kierunku jego klatki piersiowej. Adwokat przypominał, że wszystko to działo się w oparach alkoholu: zarówno oskarżony, jak i jego ofiara znajdowali się pod znacznym wpływem alkoholu, co zarówno u jednej, jak i drugiej strony mogło „uruchomić” niekontrolowane, agresywne zachowania. Odpowiedzialność za spowodowanie śmierci, ale podczas obrony koniecznej oznaczałaby znacznie łagodniejszy wymiar kary, niż ten obecnie wiszący nad oskarżonym.

Po drugiej stronie sali sądowej stał jednak prokurator z diametralnie odmiennym spojrzeniem na sprawę. Przekonywał on z całą stanowczością, że całe zdarzenie miało charakter świadomego i umyślnego ataku na życie Gustawa D. Świadczyły o tym zarówno składane na gorąco po zdarzeniu relacje, gdy Ryszard wyznał przez telefon, że „załatwił kolegę”, a także poważne obrażenia ofiary zupełnie nie pasujące do scenariusza z obroną konieczną.



– Cztery rany klatki piersiowej – głębokie, zadane z zawziętością, z pewnością nie mogły powstać wskutek wykręcenia ręki pokrzywdzonego i obrony koniecznej. O ciosach zadanych w plecy, wymierzonych podczas próby „ucieczki” pokrzywdzonego, również nie można mówić w kategoriach obrony koniecznej. Jakby tego było mało, z opinii toksykologiczno-sądowej wynika, że pokrzywdzony z uwagi na upojenie alkoholowe był niezdolny do jakiegokolwiek obrony przed oskarżonym, a skoro tak, to nie był również zdolny do ataku. Przyjęcie tezy o obronie koniecznej, czy nawet przekroczenie jej granic, w tym przypadku jest niemożliwe i nie może zostać uznane za wiarygodną wersję oskarżonego – kwitował oskarżyciel publiczny.

Na korzyść oskarżenia przemawiała również opinia wydana przez biegłych lekarzy na podstawie przeprowadzonego badania psychiatrycznego, z której wyłaniał się nadpobudliwy charakter oskarżonego.

– Stwierdzone u niego cechy osobowości powodują, że jest on nadmiernie drażliwy, niepokojny i nadpobudliwy, egotyczny, mało krytyczny w ocenie swojego postępowania, skłonny do zachowań przedwczesnych i słabo kontrolowanych. Wpływa to na jego poczytalność co do zarzucanego mu czynu, choć nie w stopniu znacznym – głosiła opinia biegłych przytoczona w trakcie rozprawy przed sądem.

Adwokat oskarżonego nie odpuszczał.

– Większość czynów zabronionych o charakterze umyślnym jest popełniana z jakiegoś konkretnego powodu – sprawca ma mniej lub bardziej określoną motywację, by naruszyć porządek prawny. W tym przypadku mamy do czynienia z kłótnią o źle przyrządzone danie, jajecznicę. Czy ktoś z tak błahego powodu mógłby posu-

nąć się do zabójstwa? Czy ktokolwiek mógłby zaplanować zabicie za zepsute śniadanie? To niezamierzona śmierć w wyniku dynamicznej szarpaniny i obrony koniecznej! – przekonywał obrońca w mowie końcowej.

### Adekwatna odpłata

**A** jednak – w ocenie Temidy – odpowiedź na ostatnie pytanie obrońcy: – „Czy za takie coś można zabić?” – powinna brzmieć: „Tak”. Sąd nie dał wiary wersji o obronie koniecznej i uznał Ryszarda W. winnego zarzucanych mu czynów – umyślnego zabójstwa. Z tak trywialnego, nedorzecznego powodu, jakim była kłótnia o jajecznicę. Służak został skazany na 10 lat pozbawienia wolności.

– Nie ulega wątpliwości, że to alkohol był czynnikiem wyolbrzymiającym całe zajście i stanowił przyczynek do utraty przez sprawcę kontroli i niepohamowanej agresji. Niemniej, życie człowieka jest wartością nadrzędną i nikt nigdy nie ma prawa go odbierać. Naruszenie przez oskarżonego podstawowej normy, jaką jest ochrona życia ludzkiego – i to jeszcze z tak błahego powodu – musi skutkować adekwatną odpłatą za wyrządzone zło – podsumował sędzia w uzasadnieniu wyroku.

W więziennym menu od czasu do czasu na pewno trafią się Ryszardowi smażone jajka. To danie, niezależnie czy dobrze, czy średnio przysmażone, zapewne z trudnością będzie mu przechodzić przez gardło... ■

**Konrad Buraczewski**

Personalalia oraz niektóre drobne okoliczności zostały zmienione.



# Droga rozpaczy

**Tadeusz WÓJCIAK**

Ujawnienie dwóch seryjnych morderców nie przyczyniło się do wyjaśnienia wszystkich tajemnic szosy numer 16. Policja wątpi w to, że tylko tych dwóch przyczyniło się do trwającego pół wieku pasma tragedii. Rodzice ostatniej ofiary nie są jedynymi ludźmi pogrąży-

mi w rozpaczy. Śledztwo trwa, w osadach wzdłuż szosy panuje nastrój terro-  
roru i niepewności. Tablice przy szosie ostrzegają przed pokusą korzystania z autostopu, bo nigdy nie ma pewności, kiedy znów da o sobie znać kolejny szalenciec.



**S**zosa nr 16 wiodąca przez północne rejony kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska jest bez wątpienia jedną z najbardziej uroczych, pięknych i nastrojowych tras tego kraju. Wspina się i opada raptem w dół, jak malownicza wstęga otoczona zewsząd gęstym lasem. Między ścianami świerków i sosen połyskują tafle jezior. Czasem przez asfalt przebiegnie stadko dzików, łosi, jeleni. W błękitie nieba krążą wielkie drapieżne ptaki. Wydawałoby się, że to proste: stanąć na poboczu, dać ręką znak na widok nadjeżdżającego samochodu, a potem jechać przed siebie, podziwiając niepowtarzalne piękno kanadyjskiej przyrody.

### Pusto na plaży

**M**ała plaża nad jeziorem Hogsback Lake. Z pobliskiej szosy prowadzi do niej wąska droga przez gęsty świerkowy las. To miejsce, znane głównie wędkarzom i młodzieży z pobliskich osad związane jest z tragedią Madison (Meddy) Scott. Jej rodzice przyjeżdżają tu w ciche letnie wieczory, by wsłuchiwać się w odgłosy nadciągającej nocy. Wszystko to – ciemniejące wody jeziora, wołanie ptaków i plusk ryby – było przecież dokładnie takie, jak w tamtą noc, kiedy zniknęła bez śladu ich dwudziestoletnia córka.

– Musimy tu przyjeżdżać, choć wiąże się to z wrażeniem przynębienia i rozpaczy. Tu nasza córka postawiła swoje ostatnie kroki, ostatnie w życiu... – mówi reporterom Eldon Scott, ojciec zaginionej dziewczyny.

Był wczesny wieczór, sobota 27 maja 2011 roku, gdy młodzież z osady przyjechała na plażę, by bawić się przy ognisku. Jedna z dziewczyn obchodziła urodziny. Pływali w jeziorze, tańczyli w migoczącym świetle płomieni, dużo pili.

– Gdy w niedzielne przedpołudnie Maddy nie wróciła do domu, zaczęliśmy wydzwaniać na jej telefon komórkowy, lecz ona nie odbierała – mówi Dawn Scott, jej matka. – Zostawialiśmy wiadomość, prosząc ją o natychmiastowy kontakt. Nie dawała znać, dlatego wczesnym popołudniem pojechaliśmy na tę plażę.

Hogsback Lake znajduje się zaledwie 15 minut jazdy samochodem od osady Vanderhoof, gdzie mieszkała Maddy z rodzicami oraz paczka jej przyjaciół. Osada znajduje się przy szosie 16. Jadąc na poszukiwanie córki, Dawn i Eldon myśleli z niepokojącym biciem serca o tym

samym: szosa i jej okolice cieszą się złą sławą. Poczynając od 1969 roku zniknęło stąd co najmniej 18 dziewcząt i młodych kobiet. Przeważnie bez śladu, bo tylko w kilku przypadkach znaleziono ich zwłoki lub tylko szkielety w pobliskich lasach, jeziorach i wąwozach. Czy Maddy musiał spotkać ten sam los?

W to niedzielne popołudnie obawy jej rodziców potwierdziły się natychmiast po przyjeździe na plażę. Znaleźli tam półciężarówkę Maddy zaparkowaną na kamienistej nawierzchni i jej splądrowany namiot, wyglądający tak, jakby rozegrała się w nim walka. Samochód był zamknięty, mieli jednak przy sobie drugi komplet kluczyków. Wewnątrz znaleźli torebkę z dokumentami i plecak z zapasową odzieżą. Stwierdzili brak jej telefonu i od razu wpadli w panikę. Zaczęli wołać córkę, lecz bezskutecznie. Na masce pojazdu leżał jej rozłożony kostium kąpielowy. Na pewno nie utonęła w jeziorze, zresztą było to niemożliwe, bo świetnie pływała. Maddy nigdy nie rozstawała się ze swoją torebką. Wyglądało na to, że zamiast wrócić rankiem do domu, oddaliła się z plaży, najpewniej nie z własnej woli.

Rodzicom nie pozostało nic innego, jak zatelefonować na policyjny numer alarmowy. Po długim oczekiwaniu na plażę przyjechali funkcjonariusze Royal Canadian Mounted Police (RCMP) i przystąpili do oględzin miejsca, a następnie do przeszukiwania najbliższej okolicy. Poszukiwania, przerwane tego dnia przed nastaniem nocy, trwały jeszcze przez kolejny tydzień. Nie przyniosły jednak rezultatów.

– Zdarzyło się coś zupełnie niewiarygodnego: Maddy zniknęła bez śladu, a ponieważ nie wierzymy w latające spodki, sprawcą jej zniknięcia musiał być tylko człowiek o złych zamiarach – powiedział reporterom sierżant Ken Floyd z RCMP, który wraz z ekipą śledczą w ciągu następnych kilkunastu dni zajmował się zbieraniem informacji o zaginionej dziewczynie.

### Na własne życzenie

**M**addy miała dwójkę rodzeństwa – brata Bena i siostrę Georgię. Po ukończeniu szkoły średniej, co nastąpiło trzy lata przed tragedią, pracowała w firmie ojca, zajmującej się pozyskiwaniem drewna z miejscowych lasów. Jej rodzeństwo i liczni przyjaciele potwierdzili, że była lubiana przez wszystkich w osadzie, więc nie mogła mieć tu wrogów. Kochała przyrodę, uprawiała wspinaczkę, wyczynową jazdę na

rowerze górskim i pływaniu. Przewodziła grupie koleżanek zajmujących się kręceniem filmów amatorskich. Dziewczyny pisały scenariusze, stały za kamerą i grały role. Jakby na ironię, jeden z ostatnich filmów miał tytuł „The Stalker” („Prześladowca”).

Śledczy zdołali przesłuchać wszystkich z niemal pięćdziesięciu młodych ludzi, feralnej nocy bawiących się przy ognisku, lecz nie byli w stanie natrafić na choćby jedną osobę, która miałaby cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Maddy. W jej byłej szkole, w osadzie czy w sąsiednich miejscowościach nie było nikogo, ani chłopaka, ani dziewczyny, kto pozostawałby z Maddy w stanie konfliktu, a tym bardziej miałby wobec niej złe zamiary.

W czasie śledztwa, raz po raz, powracano do wydarzeń majowej nocy. Śledczym trudno było zrozumieć, jak to się stało, że w miarę upływu czasu i opróżnionych butelek z alkoholem ten cały tłum tańczący przy ognisku stopniowo się zmniejszał, pary i grupki odjeżdżały, pozostawiając w końcu na plaży tylko Maddy i jej koleżankę – Jordy Bolduc. Z Maddy łączyła ją przyjaźń, ale po jej zaginięciu w osadach położonych wzdłuż szosy młodzież powtarzała plotki, powielane również na Facebooku, że Jordy przyrzekała dziewczynie opiekować się nią do końca, ale potem z niewiadomych powodów uciekła i pozostawiła ją samą.

Jak było naprawdę? Jordy ciężko przeżyła tragedię najbliższej przyjaciółki. Przez wiele dni była w stanie szoku i dopiero pod koniec czerwca przekazała śledczym kompletne zeznanie, które potwierdziło, że nocne szaleństwo przy ognisku nie było imprezą starannie zaplanowaną i tylko „dla swoich”. Impreza zawiązała się w ostatniej chwili i spontanicznie, jak to często bywa wśród użytkowników internetowych portali społecznościowych. Na wieść o „balandze przy ognisku” zareagowała młodzież nawet z osad odległych o dziesiątki mil od Vanderhoof, ściągając na plażę w grupach nie zawsze znających się nawzajem. Gdy alkohol uderzył do głów, wywiązały się sprzeczki i bójki, co przyczyniło się do zaniechania początkowego planu większości uczestników, by na plaży bawić się co najmniej do wschodu słońca.

Podczas jednej z przepychanek przy ognisku Jordy zwichnęła nogę w kostce, więc jej chłopak zaniósł ją do samochodu i przywołał Maddy, która nie przyjęła jednak tego do wiadomości i błagała ich, by nie odjeżdżali. Przy dogasającym ognisku

nie było już nikogo. Chcieli ją zabrać ze sobą, lecz ona uparła się pozostać na plaży i przenocować w namiocie.

Gdy w niedzielny poranek nie odpowiadała na telefony, Jordy wróciła na plażę. Zastała pusty namiot w nieładzie: wejście szeroko otwarte, koce pościągane i przemieszane z częściami garderoby, porzucane części biżuterii. Sceneria jak po walce. I ani śladu Maddy. Czyżby miała być jedyną ofiarą nieudanej zabawy? Właściwie na własne życzenie, bo przecież mogła odjechać, tak jak wszyscy...

Jordy jednak nie zawiadomiła ani jej rodziców, ani policji, co spowodowało, że wraz ze swym chłopakiem była przez niemal trzy miesiące poddawana częstym przesłuchaniom, a nawet testowi na wariografie. No cóż, byli ostatnimi ludźmi, którzy rozmawiali z Maddy przed jej zniknięciem...

## W depresji i frustracji

**M**inęło lato, a potem jesień 2011 roku. Po Maddy Scott przepadł wszelki ślad, a poszukiwania choćby fragmentów jej zwłok, prowadzone intensywnie wzdłuż szosy nr 16, przez kilka tygodni czerwca i lipca, spełzyły na niczym. Agenci RCMP umieścili dane dwudziestolatki na liście kilkunastu podobnych przypadków. W 1990 roku zaginęła piętnastoletnia Delphine Nikal z osady Smithers, widziana po raz ostatni, gdy próbowała zatrzymać pojazd na szosie. Inna autostopowiczka, Lana Derrick, dziewiętnastoletnia studentka college, zaginęła z szosy pięć lat później. W podobnych okolicznościach zaginęła zaledwie czternastoletnia Monica Ignas; jej zwłoki znaleziono w pobliskim wozie, po wielu dniach poszukiwań. Zły los podzieliła również dwunastoletnia Monica Jack, gdy wybrała się na przejażdżkę rowerową poboczem szosy. I wiele, wiele innych dziewczyn...

Jednak Dawn i Eldon Scott, rodzice Maddy, nigdy nie dali wiary w straszliwą prawdę. Zaginięcie córki uznali za sprawę niemożliwą i niezrozumiałą.

– Jak to: Maddy nie była już małą dziewczynką, tylko znaną z siły swych mięśni młodą kobietą, trenującą walki obronne. Ona nie mogła dać się podejść, sterroryzować i porwać... – powtarzali w wywiadach telewizyjnych i w rozmowach z ludźmi spotykanymi na szlaku poszukiwań prowadzonych własnymi siłami, niezależnie od wysiłków policji. Rozczarowani brakiem rezul-

tatów, w momentach frustracji, złości i depresji, oskarżający funkcjonariuszy o brak rezultatów w śledztwie, postanowili wziąć sprawę w swoje ręce i z pomocą kilkorga przyjaciół nie ustawać w wysiłkach zmierzających do znalezienia córki.

Z czasem musieli jednak przyznać policji rację: znalezienie Maddy, a właściwie jej zwłok, na ogromnym terytorium typowej kanadyjskiej głuszy: gęstych lasów, jezior i wąwozów, wydawało się niewykonalne. Pozostało więc pytać, niemal zmuszać do zeznań wszystkich uczestników nocnego szaleństwa przy ognisku, z nadzieją na to, że powiedzą więcej, niż powiedzieli już policji. Nie przyniosło to spodziewanych rezultatów. Udało się tylko prześledzić ostatnie kroki Maddy przed udaniem się na przyjęcie. Zatrzymała się w sklepie z alkoholami, kupiła butelkę, a następny jej postój odnotowały kamery sklepu przy trasie, skąd wyszła z torbą z przekąskami. Nie chciała się pokazać na plaży z pustymi rękoma.

### Odcięta głowa

Jesienią 2011 roku uwaga policji skoncentrowała się na młodym drwalu nazwiskiem Fribjon Bjornson, pseudonim „Frib”, który w stanie nietrzeźwym rozpowiadał po osadzie, że jest w posiadaniu tajemnicy zniknięcia Maddy. „Frib” miał 28 lat, mieszkał tu od urodzenia, pracował przy wycince drzew, był ojcem dwojga nieślubnych dzieci, policji był znany z awantur po pijanemu i z zażywania narkotyków. Były to szczegóły do portretu typowego wiejskiego osiłka, ogromnego wzrostem i doskonale umięśnionego, o dzikim spojrzeniu i mocno owłosionej twarzy. Na ludzi działał odstraszająco, a jednak Maddy Scott nie widziała żadnych przeszkód, by pokazywać się w jego towarzystwie.

Teraz, po zniknięciu dziewczyny, ten drab przechwalał się, że z Maddy łączyły go intymne stosunki, więc doskonale wie, co się z nią stało w tamtą noc. Nikt w osadzie nie wierzył w jego przechwałki, ale opowiadano, że Maddy została porwana (a być może też zamordowana) przez lokalną mafię handlarzy narkotyków, by ukarać „Friba” za narkotykowe długi, czy też zmusić go do rozliczenia się ze zobowiązań.

Nic więc dziwnego, że drwal został poddany drobiazgowym przesłuchaniom, a następnie testowi na wykrywaczu kłamstw, który ostatecznie udowodnił jego niewinność. W obronie „Friba” stawało kilku jego najbliższych przyjaciół oraz jego matka, próbująca przekonać śledczych, że



jej syn pod wpływem takiej dziewczyny, jaką była Maddy, zupełnie odmienił swoje życie, by stać się już na całe życie przykładnym człowiekiem.

Nikt w osadzie nawet przez moment nie dawał temu wiary, lecz już wkrótce stało się coś niewyobraźnego, co potwierdzało obiegowe opinie o tym, jak trudno uciec od brudnej przeszłości. W połowie października, dwa dni po teście na wiariografie i po ostatecznym uwolnieniu go od podejrzeń, „Frib” zniknął z osady i przepadł po nim wszelki ślad. Czyżby podzielił los Maddy? W osadzie zawrzało: już drugie zniknięcie w ciągu zaledwie kilku miesięcy! Pod koniec niemal dwutygodniowych poszukiwań, w jednej z opuszczonych ruder w pobliskiej osadzie, znaleziono odciętą głowę „Friba”. Poszukiwania reszty ciała do dziś nie przyniosły rezultatu.

Śmierć „Friba” nie wniosła jednak nic nowego do sprawy zaginięcia Maddy. Śledczy nie podjęli tego wątku, nie powiązali ze sobą tych dwóch tragicznych przypadków.

Nie miało to jednak wpływu na rodziców zaginionej dziewczyny. Pomimo upływu czasu Dawn i Eldon nie stracili wiary w odzyskanie córki.

Każdego ranka budzili się z myślą, że Maddy żyje, tylko trudno ją odnaleźć. Ich obsesyjna wiara w możliwość graniczącego chyba tylko z cudem jej powrotu, wykluczała logiczne przeciwieństwo pytanie o to, co się z nią stało po zniknięciu z plaży. Czy ktoś ją porwał i przetrzymuje gdzieś na bezludziu? Czy uciekła rozmyślnie, sama czy też w towarzystwie obcego mężczyzny? Jeśli tak, musiał to być ktoś z daleka, może ktoś podróżujący szosą, bo przecież w pobliskich osadach nie zanotowano zniknięcia mężczyzny.

Tak czy inaczej, kolejne kilkanaście miesięcy upłynęły rodzicom Maddy na patrolowaniu szosy nr 16, wpatrywaniu się w pobocza i świerkowy las, wypytywaniu ludzi w osadach, czy przypadkiem nie spotkali dziewczyny o rysopisie zbliżonym do Maddy.

Dramat o niewyobrażalnym wymiarze: dwoje ludzi w średnim wieku, wciąż zapłakanych lecz z nadzieją w oczach, niepotrafiących pogodzić się ze stratą, pełnych wiary w cudowne odnalezienie...

### Morderca z internetu

**P**od koniec 2012 roku społeczność osady Vanderhoof przeżyła kolejny szok: 27 listopada nie powróciła ze szkoły do domu piętnastoletnia Loren Leslie, podobnie jak Maddy – córka właścicieli firmy pozyskiwania i obróbki drewna. Poszukiwania dziewczyny przerwano ze względu na późną porę i pogarszającą się pogodę. Padał śnieg z deszczem, policjanci postanowili czekać do rana. Doug Leslie, jej ojciec, nie był w stanie się uspokoić. O drugiej w nocy wsiadł w półciężarówkę i zaczął objeżdżać szosę i wszystkie jej lokalne odgałęzienia, jednak nigdzie nie natrafił na ślady Loren.

Poszukiwania trwały następnego dnia, gdy wczesnym popołudniem przed frontem wozu patrolowego na szosie nr 16 pojawiła się jakby znikąd półciężarówka. Wyjechała raptem z rzadko uczęszczanej drogi, prowadzącej do wyrębowniska. Za kierownicą siedział dwudziestoletni chłopak, zdenerwowany, poczerwieniały na twarzy, na pytania policjantów przez jakiś czas niezdolny do sformułowania jakiegokolwiek sensownej odpowiedzi. W samochodzie miał dwie strzelby. Policjanci domyślali się, że być może jest to kłusownik, wezwali więc na pomoc straż leśną, a następnie w kilka pojazdów pojechali w głąb lasu, śladem opon odcisniętych w śniegu. Spodziewano się, że ślady poprowadzą w miej-

sce nielegalnego ubicia łosia lub jelenia. Doznali jednak szoku, bo ślady opon kończyły się w miejscu, gdzie na skraju wyrębowniska spod stosu gałęzi wystawały szczupłe nogi odziane w dżinsy i obuwie sportowe.

Pod gałęziami spoczywały zwłoki poszukiwanej dziewczyny. Twarz Loren była zmasakrowana w sposób uniemożliwiający natychmiastową identyfikację. Wezwano jej ojca, który rozpoznał córkę po tatuażu na nadgarstku lewej dłoni. Jak się później okazało, dziewczyna była wielokrotnie gwałcona. Napastnik zabił ją uderzeniami ciężkiego narzędzia w głowę i podciął jej gardło.

W śledztwie ustalono, jak doszło do tragicznej w skutkach znajomości piętnastoletniej uczennicy ze starszym o pięć lat mechanikiem samochodowym. Poznali się przez internet. Loren Leslie była dobrą uczennicą i miała wszechstronne zainteresowania. Po szkole uprawiała z dużym powodzeniem pływanie i sporty obronne, a w wolnym czasie, tak jak wszyscy jej rówieśnicy, zanurzała się po uszy w wirtualnym świecie. Tam na jej spotkanie wyszedł Cody Legebokoff, po ukończeniu szkoły średniej zarabiający na życie w warsztacie samochodowym w mieście Prince George, nieoficjalnej stolicy północnego rejonu prowincji. Pisali do siebie na Facebooku, a po kilku miesiącach niewinnej znajomości zaczęli się spotykać niemal w każdy weekend. Pomimo sprzeciwu rodziców, Loren jeździła do Prince George na każdy weekend. Nie znali żadnych szczegółów, ufali jej mądrości; wiedzieli tylko, że jeździ do przyjaciół, nie zaś do konkretnego chłopaka.

★ ★ ★

**N**ic nie wskazywało na to, że spotyka się tam ze swym przyszłym mordercą. Nikt również nie podejrzewałby tego chłopaka o jakiegokolwiek złe zamiary. Cody wynajmował kilka pokoi z trzema koleżankami. W śledztwie chwaliły go jako dobrego kolegę i świetnego współmieszkańca. Trzymał dystans, nie narzucał się, nie wchodził z żadną z nich w bliskie układy. Wiedziały tylko, że miał dziewczynę przyjeżdżającą do niego w odwiedziny z jednej z leśnych osad. Musieli się chyba spotykać w mieście, bo nigdy jej nie poznały. Miały zresztą swoje życie i swoich chłopaków.

Cody cieszył się również doskonałą opinią swoich byłych nauczycieli oraz kolegów szkolnych. Wszyscy mówili o nim dobrze: ot, taki typowy kanadyjski chłopak z prowincji, z niewielkimi ambicjami,

zadowolony z pracy przy samochodach, a w wolnych chwilach tonący po uszu w Facebooku. W towarzystwie rówieśników określano go, jako normalnego, beztróskiego, pomagającego ludziom w potrzebie chłopaka, z ogromnym poczuciem humoru.

Dlatego w jego otoczeniu ze zdumieniem i niedowierzaniem przyjęto sensację powtarzaną w lokalnych dziennikach telewizyjnych i opisywaną w gazetach. Cody mordercą? To chyba zły dowcip! On przecież prowadził spokojne, godne życie, ciężko pracował, a pod koniec tygodnia pił piwo, bawił się i tańczył. Nigdy nie widziano go z piętnastoletnią uczennicą.

– Miał dziewczyny, ale nie interesowały go dzieci... – skomentował kolega z jego paczki.

Jeszcze trudniej było uwierzyć w kolejne sensacje. Trzy tygodnie po jego aresztowaniu policjanci mieli już pewność, że Cody Legebokoff zabił nie tylko ten jeden raz. Porównanie jego kodu genetycznego ze śladami na znalezionych w lasach szczątkach ofiar dawało dowód na to, że był sprawcą trzech innych zbrodni, popełnionych na młodych kobietach. Pierwszej zbrodni dokonał w 2009 roku; dwóch kolejnych w roku następnym. W momencie popełnienia pierwszego morderstwa miał zaledwie dziewiętnaście lat.

– Rzadko się zdarza, by dziewiętnastoletni chłopak został uznany za seryjnego mordercę – stwierdzili funkcjonariusze RCMP, zdradzając w rozmowach z reporterami, że nadal trwa śledztwo w sprawie kilku kolejnych zbrodni, prawdopodobnie popełnionych przez mechanika z Prince George.

Cody Legebokoff siedzi nadal w areszcie, w oczekiwaniu na rezultaty toczącego się śledztwa i proces sądowy. Nagłośnienie jego makabrycznych wyczynów w mediach spowodowało na razie tylko to, że jego rówieśnicy z miasteczka, a zwłaszcza dziewczyny, przypominają sobie coraz to nowe szczegóły związane z jego osobą.

– Poznałam go na rok przed jego aresztowaniem i od razu wiedziałam, że jest człowiekiem złym i niegodnym zaufania – powiedziała Charleine Lang, dziewczyna z paczki, w której rej wodził Cody. – Zastanowiło mnie wejrzenie jego oczu. Tryskał humorem, lecz w oczach miał zło i nienawiść do ludzi i do świata...

### Igła w stogu siana

**D**rwal „Frib” Bjornson zabity w tajemniczych okolicznościach... Cody Legebokoff posądzony wprawdzie o popełnienie serii



zbrodni, ale przecież zbyt młody, by zaliczyć na jego konto morderstwa popełnione przed czterdziestu laty... Logika podpowiadała śledczym, że lista osobników o złych zamiarach działających w rejonie szosy nr 16 nie ogranicza się do tych dwóch nazwisk.

– Muszą być inni, zarówno ci z odległej przeszłości, jak również ci, którzy przyczynili się do tragedii najnowszych, takich jak zniknięcie Maddy Scott – powiedział w lokalnej telewizji sierżant Wayne Clary z RCMP, który jesienią 2012 roku stanął na czele specjalnej grupy roboczej, powołanej do wyjaśnienia wszystkich zagadkowych morderstw i zniknięć kobiet w tym rejonie Kolumbii Brytyjskiej.

Prace grupy roboczej trwają do dziś. Jak na razie zaowocowały ujawnieniem kolejnego seryjnego mordercy.

Jednak początki nie zapowiadały się optymistycznie, bo pościg za sprawcą lub sprawcami tragedii młodych kobiet przypominał szukanie

igły w stogu siana. Wpierw należało przekopać się przez ogromną dokumentację – raporty z miejsc przestępstw, wyniki ekspertyz, zeznania świadków, protokoły z przesłuchań podejrzanych. Do stosów teczek z przeszłości doszły najnowsze raporty, w tym pełna dokumentacja sprawy zaginionej Maddy Scott.

Od początku plagi morderstw i zniknięć, a więc od końca lat 60. do końca 2012 roku, na liście świadków znalazło się 60 tysięcy osób, niemal cała dorosła męska populacja mieszkańców osad wzdłuż szosy nr 16. Spośród nich wytypowano ludzi, na których padło co najmniej nikłe podejrzenie. Było ich łącznie 1400, a tę wciąż obszerną grupę ludzi o skłonnościach do sadyzmu, przemocy wobec najbliższych kobiet, do nieuregulowanego trybu życia – włóczęgostwa, pijaństwa i narkomanii – stopniowo zredukowano do wąskiej grupy najbardziej podejrzanych.

– Przeciętny prawy obywatel nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak wielu dziwnych osobników żyje pośród nas – stwierdził sierżant Wayne Clary w jednym z wywiadów telewizyjnych. – Natrafiliśmy na mężczyzn poruszających się pojazdami, zamienionymi na klatki do przechowywania ofiar: wewnątrz zapadnie prowadzące do schowków w podłodze, klamki zdemontowane, a w papierowych torbach plastikowe kajdanki, szmaty do sporządzania knebli, krążki samoprzylepnej taśmy...

A jednak żadne z tych szokujących ustaleń nie zaprowadziłyby agentów RCMP do kolejnego sprawcy morderstw, gdyby nie zastosowanie techniki kodu genetycznego.

Kod DNA połączył tragedię sprzed 28 lat z osobą starszego wiekiem kryminalisty, który zmarł w więzieniu w trakcie odbywania kary za próbę porwania kobiety. Jego ofiarą przed laty była szesnastoletnia Colleen MacMillen z osady Smithers, która w wiosenny dzień 1974 roku stanęła na skraju szosy nr 16, by przygodnie zatrzymanym samochodem pojechać do koleżanki w sąsiedniej osadzie. Świadkiem jej odejścia był mały brat, którego przedtem poprosiła, by trzymał w tajemnicy jej zakazane przez rodziców wyprawy autostopowe, nawet do tak odległych miejscowości, jak Prince George. Colleen nie powróciła do domu, a jej zwłoki znaleziono dopiero po miesiącu poszukiwań, w głębokim wąwozie odległym o 30 mil od jej domu.

Na szczęście śledczym udało się zebrać ze zwłok Colleen materiał genetyczny należący do napastnika i sprawcy jej śmierci. Dopiero 28 lat póź-

niej technika DNA powiązała jej tragedię z osobą mężczyzny doskonale znanego w osadach wzdłuż szosy nr 16. Był to Bobby Jack Fowler, wędrowny robotnik budowlany, specjalizujący się w naprawach dachów. Fowler był Amerykaninem, pochodził z Teksasu, gdzie rozpoczął wyjątkowo bogatą karierę przestępczą. W 1969 roku był podejrzany o zamordowanie dwojga osób, jednak wskutek matactwa świadków udało mu się uniknąć wieloletniego więzienia. Wkrótce po wyjściu na wolność popadł w zatarg z prawem w stanie Tennessee, gdzie zgwałcił i pobił kobietę, pozostawiając ją w lesie, gdzie o mało co nie zmarła z wykrwawienia. Ten prymitywny sadysta, gwałcieciel i, jak się później okazało – seryjny morderca, po odbyciu kolejnych wyroków podróżował po drogach wielu stanów USA swą poobijaną starą ciężarówką, chętnie zabierając z barów i szos kobiety uzależnione od alkoholu i autostopowiczki. Jak przyznał się w trakcie ostatniego procesu, niezmiennie wierzył, że kobiety „chętnie wsiadały do samochodu, bo liczyły na przygodę seksualną”.

Bobby Jack Fowler zakończył swą przestępczą działalność latem 1995 roku, gdy policja stanu Oregon złapała go na gorącym uczynku podczas próby porwania zgwałconej uprzednio kobiety. Zmarł w więzieniu dziesięć lat później. Zastosowanie techniki DNA wykazało, że był seryjnym mordercą. Jego ofiarami padło kilkanaście kobiet w wielu stanach USA, a po krótkim pobycie w kanadyjskiej Kolumbii Brytyjskiej – również Colleen MacMillen, dziewczyna z osady przy szosie nr 16.

★ ★ ★

**O**d zaginięcia Maddy Scott minęły już cztery lata. Jej rodzice wciąż nie tracą nadziei na wyjaśnienie jej tragicznego losu. Ujawnienie dwóch seryjnych morderców nie przyniosło odpowiedzi na pytania, w jakich okolicznościach zniknęła z plaży i co się z nią potem stało. Śledztwo trwa, a w rejonie szosy nr 16 rodzice Maddy nie są jedynymi ludźmi pogrążonymi w rozpacz. Rodziny niektórych ofiar czekają na prawdę o ich losie już niemal pół wieku. W leśnych osadach wzdłuż szosy nikt nie ufa obcym, panuje strach, a dziewczyny i kobiety już nie podróżują do Prince George autostopem. Nikt nie ma pewności, czy na szosie nie pojawi się kolejny szaleniec. ■

**Tadeusz Wójciak**

# DETEKTYW

w wersji  
na czytniki



2,99  
PLN Z VAT

[WWW.DETEKTYW.EU](http://WWW.DETEKTYW.EU)



# Dramat w filharmonii

dokończenie ze str. 25.

z nią w wynajmowanym mieszkaniu. Niestety, co pewien czas powracał dawny nałóg. Lubił wypić, lubił się zabawić. Pensja pracownika technicznego filharmonii niestety na to nie wystarczała. Ale i na to znalazł sposób. Przecież pieniądze można wygrać. Coraz częściej można go było zastać w salonach z jednorękimi bandytami, albo w miejscach gdzie obstawia się zakłady bukmacherskie. Hazard wciągał go jak narkotyki. Chyba zapomniał o starej jak świat zasadzie rządzącej światem hazardu: wygrać możesz, przegrać musisz. Początkowo grał tylko po wypłacie i starał się nie stracić więcej niż kilkadziesiąt złotych. Zdarzyły się jednak miesiące, kiedy do domu nie zaniósł nawet złotówki, bo wszystko przegrywał i musiał pooddawać wcześniejsze długi. Coraz częściej dochodziło do awantur z konkubiną, zdarzało się, że przez kilka kolejnych nocy musiał szukać sobie dachu nad głową. Jednym z takich miejsc były pokoje gościnne w filharmonii. Często stały puste, więc zaprzyjaźnieni ochroniarze litowali się nad młodym mężczyzną i pozwalali mu niekiedy przenocować. Tak było również w czwartkowy wieczór, 7 marca 2013 roku.

## Całe życie za kratami

**N**iewiele wiadomo o kulisach nocnego dramatu, bo wiele rzeczy w tej sprawie jest poufne, przez wzgląd i szacunek dla ofiar.

Po wyjściu wieczorem z pracy, Michał M. nie poszedł prosto do domu, bo jego stosunki z konkubiną w ostatnich dniach nie układały się najlepiej. Zatrzymał się w pobliskim pubie. Nigdzie się nie spieszył, wypił kilka piw, grał na automatach. To jednak nie był jego dzień! Przegrał wszystko co miał, a tamtego wieczoru miał w portfelu kilkaset złotych. Mimo braku pieniędzy nie opuścił lokalu. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wirujące, kolorowe bębny jednorękich bandytów. Po północy opuścił lokal i wrócił do budynku filharmonii. Chciał przenocować w jednym z wolnych pokoiów gościnnych, jak to już wielokrotnie zdarzało mu się w przeszłości, a znajomy portier nie miał nic przeciwko temu. Kilkanaście minut później za zamkniętymi drzwiami filharmonii rozegrał się dramat. Młoda kobieta zaciekle broniła się, ale silny, wysportowany napastnik zdołał ją związać i zakneblować. Łatwiej mu chyba poszło pozbawienie życia 60-letniego ochroniarza.

★ ★ ★

**N**a początku maja 2014 roku Sąd Okręgowy w Jeleniej Górze skazał Michała M. na karę dożywotniego pozbawienia wolności, z jed-



noczesnym zastrzeżeniem, że o przedterminowe zwolnienie będzie się mógł ubiegać najwcześniej za pięćdziesiąt lat. Jako karę dodatkową zasądził milion złotych nawiazki dla rodzin ofiar: po 250 tysięcy złotych dla matki i córki ochroniarza oraz 500 tysięcy złotych dla matki zamordowanej harfistki.

– *Według mnie wyrok jest bardzo surowy i nieadekwatny do stopnia winy. Jeśli utrzyma się, skazany będzie mógł opuścić więzienie dopiero w wieku 80 lat* – powiedział bezpośrednio po jego ogłoszeniu obrońca skazanego, zapowiadając apelację.

Sąd Apelacyjny we Wrocławiu 15 października 2014 roku podtrzymał wyrok dożywotnia. Jediną zmianą była zmiana czasu oczekiwania na ewentualne przedterminowe zwolnienie z 50 do 40 lat.

Wyrok jest prawomocny. ■

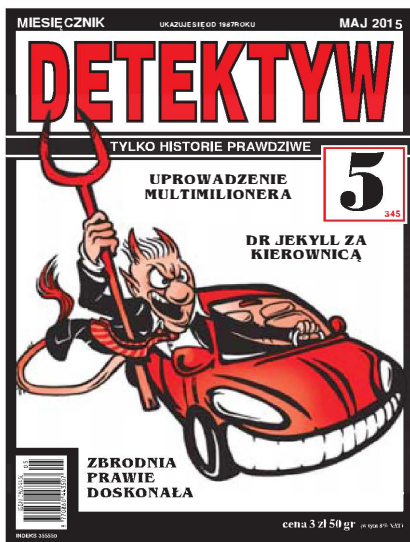
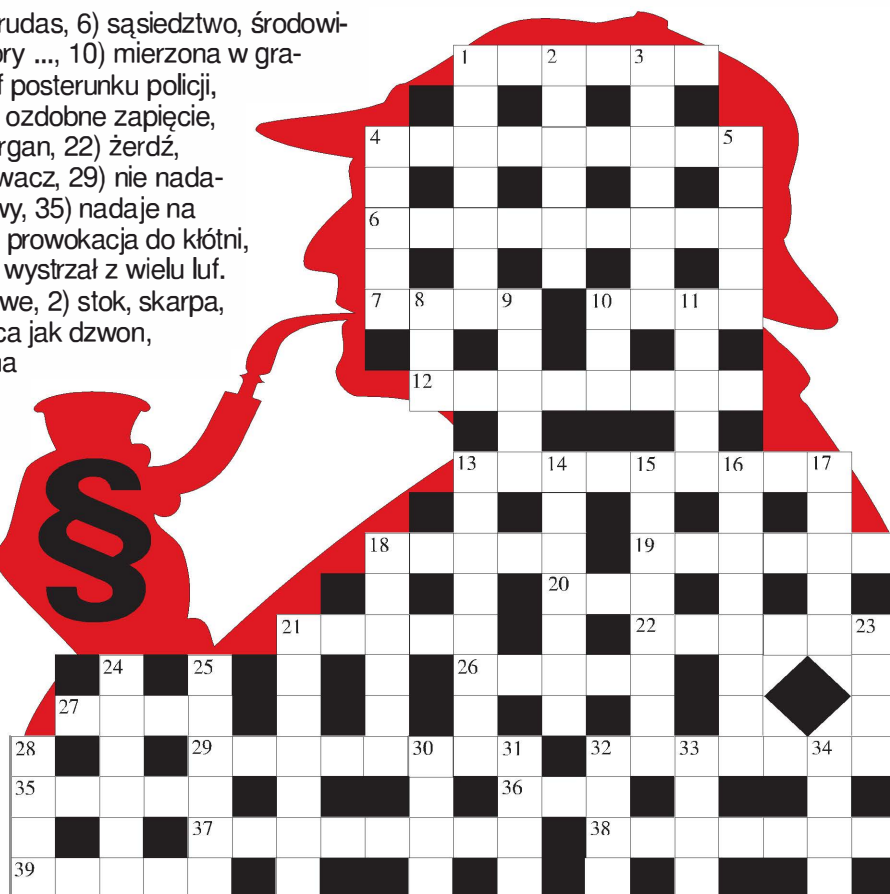
**Leon Madejski**

**POZIOMO:** 1) szachraj, kanciarz, 4) brudas, 6) sąsiedztwo, środowisko, okolica, 7) dobre towary mają dobry ..., 10) mierzona w gramach, 12) kasetka z biżuterią, 13) szef posterunku policji, 18) denuncjacja, tajne oskarżenie, 19) ozdobne zapięcie, sprzączka, 20) drugi plan, 21) bijący organ, 22) żerdź, 26) na noszach, 27) chroniony przeżuwacz, 29) nie nada się na polarnika, 32) wóz pogrzebowy, 35) nadaje na falach, 36) może być melioracyjny, 37) prowokacja do kłótni, 38) potocznie pistolet maszynowy, 39) wystrzał z wielu luf.

**PIONOWO:** 1) uroczystości jubileuszowe, 2) stok, skarpa, 3) artystyczna lub głębinowa, 4) spódnica jak dzwon, 5) cmentarna nie szczeka, 8) sceniczna

powtórka, 9) stolica i port Japonii, 10) finał na szachownicy, 11) ustalany przez trenera, 13) ideologia w puszczy, 14) koński model Forda, 15) w papierosie, 16) bezrząd, chaos, 17) mieszkaniec Ankar, 18) koń o sierści karej, gniadej lub kasztanowatej z domieszką włosów białych, 21) złoczyńca, kryminalista, 23) w pacierzu, 24) pies bez papierów, 25) z białą korą, 28) śledzący może go zgubić, 30) atrybut detektywa Holmesa, 31) ma stolicę, 32) zawsze z wodorem, 33) formuła przysięgi, 34) mężczyzna z raj.

(rozwiązanie w numerze)



- **ZBRODNIA PRAWIE DOSKONAŁA** – Popelniona przez nich zbrodnia wyszła na jaw, bo pewnego listopadowego poranka pies, podczas spaceru ze swoim panem nad brzegiem rzeki, spod kilkucentymetrowej warstwy piasku, wykopat kawałek czarnej folii...
- **KANIBAL Z KOLORADO** – Tropiciele złota na odludnych i górskich szlakach potrafili posunąć się do odrażających czynów. Do takich można zaliczyć przypadek Alfreda

## W NASTĘPNYM NUMERZE

Packera, pierwszego człowieka sądanego w USA za kanibalizm.

- **JUBILAT** – Zawsze korzystała z wyposażonego w sygnalizację świetlną przejścia dla pieszych, tego dnia jednak bardzo się spieszyła. Zasnęła na pierwszej lekcję, co nigdy jej się dotąd nie zdarzyło.

- **UPROWADZENIE MULTIMILIONERA** – W marcu 1996 roku uprowadzono niemieckiego naukowca i spadkobiercę fortuny – Jana Philippa Reemtsma. Porywacze żądali 20 milionów marek okupu. Kiedy zorientowali się, że o sprawie powiadomiono policję, podnieśli kwotę o jedną trzecią. Zakładnik był więziony w piwnicy przez 33 dni.

- **DR JEKYLL ZA KIEROWNICĄ** – Psycholodzy coraz częściej mówią o syndromie tzw. wściekłego kierowcy. Jeśli zatem traktujesz innych uczestników ruchu jako rywali lub wyimaginowanych przeciwników, to zdradzasz już pierwsze objawy tej jednostki chorobowej!

- **KROPLE ŻYCIA** – Prokuratura szykowała się na szybki i łatwy proces. Zabezpieczono mocne dowody, przesłucha-

no świadków. Sprawa skomplikowała się, gdy z laboratorium przyszły wyniki badań leku.

- **TAJEMNICZY ŁUP** – To miał być dla „Remika” kolejny nudny dzień, rozpoczęty na ławce pod sklepem, ale nagle zatrzymało się przy nim czarne Audi, z którego wysiadł postawny jegomość. – „Mam dla ciebie gryps od Rudego” – usłyszał...

- **GOTOWI NA WSZYSTKO** – Przeszępcy często są ludźmi, których na manowce prawa przywiodła chęć prowadzenia łatwego życia i zarabiania pieniędzy bez większego trudu czy wysiłku. Jednak wśród nich są i tacy, którzy dla zrealizowania swoich celów, gotowi są na wszystko.

- **ZABÓJSTWO POLLY KLAAS** – Miała przed sobą całe życie, niestety w wieku dwunastu lat została uprowadzona i zamordowana przez człowieka, który nigdy nie wyjawiał powodów, jakie nim wtedy kierowały.

**MAJOWE WYDANIE  
„DETEKTYWA” NR 5/2015  
DO KUPIENIA  
OD 21 KWIETNIA 2015 R.**

ZAGADKA  
KRYMINALNA

# UPIÓR LUWROU



Gerard Morel, francuski biznesmen, chce uwolnić się od dotychczasowej, posuniętej w latach i schorowanej żony Juliette, ponieważ znalazł sobie znacznie młodszą partnerkę. Rozvodu nie bierze pod uwagę, bo żona jest właścicielką całego ich majątku. Postanawia wynająć płatnego zabójcę. Spotyka się z nim na trybunie wyścigów konnych wśród tłumu ludzi.



Kilka dni później, pan Gerard Morel wyjechał z Paryża w interesach. Juliette, jego żona, została sama w dużym i pustym domu. Tego wieczora wynajęty morderca, odpowiednio ucharakteryzowany i przebrany za Belfegora, czyli przerażającego upióra Luwru, pojawił się nagle przed oniemiałą z przerażenia kobietą. Zbrodnicze przewidywanie jej męża niestety sprawdziło się. Serce chorej kobiety nie wytrzymało...



Następnego dnia ciało znalazła służąca, przychodząca do domu państwa Morel każdego ranka. Zawiadomiony o śmierci starej znajomej komisarz Blanchard wraz z lekarzem sądowym, przybyli na miejsce zdarzenia. Przeprowadzona następnego dnia sekcja zwłok potwierdziła, że przyczyną zgonu był atak serca.



Juliette Morel już od pewnego czasu podejrzewa męża o złe zamiary w stosunku do siebie. Ogarnięta jak najgorszymi przeczuciami, prosi komisarza Blancharda, swego starego znajomego, o radę. Policjant zaleca jej daleko posuniętą ostrożność.



Podstępny skrytobójca upewniwszy się, że jego ofiara nie żyje, przeniósł jej ciało z salonu na parterze do sypialni na piętrze i ułożył w łóżku, aby upozorować śmierć naturalną w czasie snu.



Komisarz podejrzewał jednak (na podstawie niedawnej rozmowy z panią Morel), że być może mąż przyczynił się do jej śmierci. Gerard Morel ma jednak żelazne i potwierdzone alibi (wyjazd z Paryża). Po ponownym przeanalizowaniu wszystkich okoliczności, komisarz Blanchard ma już niemal pewność, że nieznaną na razie sprawcą przyczynił się do jej śmierci. Świadczą o tym dwie poszlaki.

**JAKIE TO POSZLAKI?**  
(rozwiązanie w numerze)